



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEI

ROK 1924. WARSZAWA, 6 WRZEŚNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

T RE Ś Ć N U M E R U :

W sprawie służby domowej—C. Walewska. Zrzeszenia kobiet w Krakowie—Marja Hornowska. Dom—K. S. Stary Sącz—N. Samotybowa. Włochy i wiosna—Zuzanna Rabska. Sentymtalna nowelka (c. d.)—Grazia Deledda (przekł. J. D.). Drogi duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. Staruszka z kinematografu—Vicente Blasco Ibanez (przekł. z hiszp. r. c.). Emil Verhaeren (c. d.)—Marja Grossek-Korycka. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Cel i zadania pedagogji (c. d.)—Emilja Tecka. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca (c. d.)—Kazimierz Rogala-Kosiński. Joseph Conrad—Z. Zawiszańka. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Światła i cienie—C—r. Z teatrów—p—a. Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i jej niemieckiego ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

W SPRAWIE SŁUŻBY DOMOWEJ

Dotknąć najcieńszą gałązką brzegu mrowiska — wnet radio na cały kopic. Zbiegają się zewsząd zaalarmowane, gotowe do boju zwierzątka. Tak ze sprawą służby domowej wszędzie, na całym świecie, nietylko u nas. Bolączka nad bolączkami. Jak ją wyleczyć?—Nikt nie wie, choć sto rad na godzinę.

W № 25 „Bluszczu” z r. b. pierwsza poruszyła sprawę utalentowaną, pełnem swady piórem swoim p. M. Grossek-Korycka, którą ma ten dar niezwykły, że—jak owad na szpilkę—umie nadziać każdą myśl swoją na wyczelowane ostrze słowa, odsypały się w następujących numerach odpowiedzi: pani m. b. i p. W. Jakobson-Skrodzkiej. Przyjdą niewątpliwie inne, bo jakżeż nie mówić o tem, co przegryza do trzewi wnętrza ognisk domowych?

Główną radą autorki „Świata kobiecego” jest—dla niezamożnych wy-

zbyć się służby zupełnie, dla zamożniejszych — oprzeć się na pracy najemnej kobiet z inteligencji, urodzonych gospodyń, a przystosowanych usposobieniem i zamiłowaniem do zajęć domowych. Myśl tę chwyta w lot p. Wanda Skrodzka i rozkoszuje się obrazem życia rodzinnego, w którym ten klin, wbity w jego jądro — obcy, niechętny, daleki kulturą, ta dzisiejsza służąca, „zdemoralizowana przez panie same ich próżniactwem i manją strojów”, ustąpiłyby miejsca komuś bliższemu sferą wychowania i umysłowości. Subtelna i bardzo snadź zgnębiona warunkami pracy domowej autorka fejsletonu w № 33 „Bluszczu” wzywa inteligentki, konające śmiercią głodową, aby łączyły się z matkami rodzin, które padają pod ciężarem obowiązków domowych, a w służbie zwyczajnej znajdują tylko niechęć, brak poczucia obowiązku i sto innych wad.

Czy tędy droga? Czy to jedyny sposób dla sterniczek ognisk domowych uchronienia dusz swoich przed „ekonomiczną swarliwością?”

Znam kilka przykładów najemnej pracy inteligentek w charakterze pomocnic domowych. Do rodzin średnio zamożnych zgłosiły się repatriantki—zawołane gospodynie. Jaki był koniec?—W niektórych wypadkach po upływie pół roku i innych—po miesiącu i prędzej następowała obraza i szukanie innych miarodajniejszych imprez.—Wiem o fakcie, gdzie wskutek ogłoszenia o zapotrzebowaniu służby zgłosiły się czasu wojny do bardzo zamożnej rodziny dwie siostry, córki doktora, opływające niegdyś w dobrobyt. Zostały przyjęte, ale postawiły za warunek, że cała uprzednia służba—prócz stróża i palacza w piecach — będzie usunięta, a one same wyłącznie obejmą wszelką pracę domową. Obowiązki swoje spełniają te

panie z towarzystwa dotychczas jeszcze bez zarzutu. Ale — dzieje się to w Anglii, kraju „niewiarogodnych dziwactw“...

Autorka, ukryta pod kryptonimem m. b. (№ 28 „Bluszczu“) widzi główną rękojmię unormowania stosunku między pracodawcami, a służbą domową w organizacji pracy. Nic u nas nigdy nie jest w porę. Pan przychodzi na obiad, kiedy chce, pani wraca z pogoni za sprawunkami najczęściej o godzinę spóźniona. Dzieci — każde na swoją rękę — wysyłają służbę co chwila z III lub IV piętra — bez windy — to po gruszkę, to po ciastko lub czekoladowe cygaro. Dziewczyna traci głowę w chaosie różnorodnych nakazów i nie wie, co ma uważać za główną swoją robotę.

To prawda. W bardzo wielu domach polskich jest bezład. Ale nie wszędzie. I nie można zgodzić się z panią m. b. — znaną zresztą i cenioną ekonomistką — aby większość gospodyń naszych cechowała taka zasadnicza, nieokiełznana bezprogramowość. Raczej — należałoby ją zaliczyć do wyjątków — dosyć licznych, ale wyjątków.

Organizację pracy trzeba uważać wszakże, jako podstawowy czynnik wychowania i trzymania w korbach służby domowej.

Podkreślam wychowanie, bo jednak żadna z feljetonistek „Bluszczu“ nie zaznaczyła tej konieczności.

A są jeszcze inne. Jest przede wszystkim niezbędna, niecierpiąca zwłoki potrzeba reformy ustawodawstwa o służbie domowej.

Zamykamy oczy na to. Nie chcemy słyszeć o trudnościach i obciążeniu pracodawców, które wraz z nią przyjdą. Ale rytm czasu wali we wszystkie drzwi i okna, najszczelniej zabarykadowane. A czy nie lepiej uchylić je, aniżeli gdyby fala miała wyrwać zawiasy przemożnym swym naporem?

W kilku numerach „Bluszczu“ z przed lat trzech podałam projekt nowej ustawy, która ma zastąpić przestarzałe już mocno i niedostosowane do demokratycznego ustroju społeczeństw obecnych „Przepisy obowiązujące“ z 1861 r. u nas w b. Królestwie, „Regulaminy i Rozporządzenia

z 1855 i 1857 w Małopolsce oraz stare Ustawy o czeladzi w Poznańskim, zniesione w 1918 r. i zastąpione przez przepisy kodeksu cywilnego w umowie służby, ale które właściwie nie mają znaczenia, ponieważ sprawy sądowe ciągną się do nieskończoności, a ułatwienie sporów służby domowej wymaga zawsze pośpiechu.

Projekt nowej ustawy dla całej Polski ma na celu głównie zniesienie piętna niewoli z zajęć naszych Kasiok, Karjatyd, których dzień roboczy nie jest ograniczony; § 549 naszych „Przepisów obowiązujących“ brzmi bowiem: „Sługa poświęcać winiem na usługi pana swego wszystkie swój czas, robić, co mu pan rozkaże.“

Gdy szwaczka, pończoszarka, modystka w dużej pracowni lub każda robotnica fabryczna po skończonych godzinach pracy może robić, co zechce — służąca tkwić musi doby całe na miejscu. I — albo wymyka się ukradkiem na raut u stróża, co daje powód do nieskończonych awantur — albo prosić musi uniżenie o pozwolenie wyjścia.

Ten areszt domowy jest głównym powodem ucieczki sług od swego zawodu. Każda woli chleb suchy, aby na swobodzie, aniżeli ciastko w ciągłej zależności. Ten areszt spowodował, iż z chwilą powstania wielkiego przemysłu służące na całym świecie wyemigrowały do fabryk. W Anglii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, kategoria pracownic domowych rekrutuje się wyłącznie z pośród żywołów napływowych, a z wybuchem wojny nietylko tam, ale i u nas wszystko poszło do okopów; stare i młode, tak że nie można było dostać kobiet nawet na posługi.

Reforma ustawodawstwa o służbie domowej, wprowadzona już w Austrii Górnej i Dolnej, w Czechosłowacji, Bawarii, Grecji, Kantonie — mieście Bazylei opiewa przede wszystkim o czasie pracy — z wyjątkiem Grecji, która główny nacisk kładzie na termin i warunki wymawiania pracy. Żądany jest bezwzględnie 8 godzinny wypoczynek nocny, dwugodzinna przerwa roboty w ciągu dnia, którą służąca rozporządza dowolnie, czas na nabożeństwo w każdą niedzielę i święto, popołudnia wolne co drugi dzień świąteczny. Pozatem — płatny urlop tygodniowy lub dwutygodniowy zależnie od liczby lat, przesłużonych w jednym

miejscu, oddzielna dopłata za nadliczbowe godziny pracy, opieka w Kasie Chorych, ścisłe przestrzeganie umowy najmu, zwłaszcza w stosunku do terminów obustronnego wypowiedzenia.

Te główne punkty zawiera również i projekt naszej ustawy, kołaczący się po komisjach sejmowych już od lat pięciu, a raz — przed trzema laty — wprowadzony już na na plenum sejmowe i odrzucony po trzecim czytaniu.

Naturalnie — odrzucony, a raczej zwrócony do komisji, bo komu właściwie zależyć może na wprowadzeniu go?

Niema stronnictwa, któreby z całą gorliwością popierało zmianę obowiązujących dotychczas „Przepisów“, bo wszyscy panowie posłowie boją się obciążenia płatnymi urlopami, ograniczenia czasu roboczego służby i honorowania nadliczbowych godzin pracy.

A właściwie — w domach, które nie zmieniają służby, jak rękawiczki, robi się to już oddawna, robi na długo przed projektowaną reformą.

W 1919 r. podjęłam z ramienia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej zakrojoną na szeroką skalę ankietę w sprawie warunków bytu i pracy służby domowej, aby oprzeć zmianę ustawodawstwa na wynikach badania.

Ankieta, którą streściłam w „Bluszczu“, pisząc o projekcie nowej ustawy, przyniosła aż 1108 odpowiedzi samej służby. Panie zbojkotowały ją, nadesławszy zaledwie 124 wypełnione kwestjonariusze.

Lwia część pracownic domowych skarży się na niewolę: „Od dzwonka do ogonka, od ogonka do dzwonka i tak w kółko. W służbie nie życie, tylko konanie“ — pisze jedna z korespondentek, stwierdzając, że na sługi idą tylko sieroty z przytułków albo dziewczęta wiejskie, które nigdy niczego innego nauczyć się nie mogły.

Dopóki — na wzór zreformowanego dziś prawa ochrony pracy robotników i rzemieślników — nie unormujemy prawnego położenia służby domowej, dopóki umowa najmu nie określi ściśle warunków pracy i czasu wolnego od zajęć, — dopóty służąca w poczuciu zlekceważenia stanu, całą gorycz przelewać będzie na słuźbodawców i nie wyleczy się

z krnąbrnego oporu i z twardej niechęci względem nich.

Te „garnkotłuki” i „parzygnaty”, jak nazywają je nawet w feljetonach...

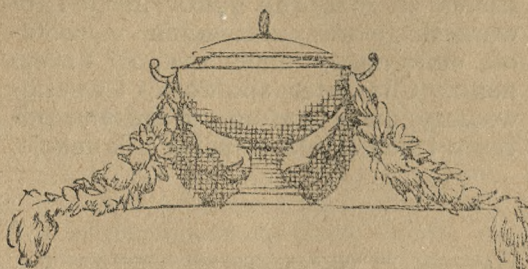
Jest „elita” służby domowej. Są uczciwe, nad wyraz obowiązkowe pracownice, które lata całe nie zmieniają słuźbodawców i niekiedy przechodzą z rodziny na rodzinę — od matki do córki. Prawda, mają wadę charakteru — czasami wielką nerwowość, czasami porywczosć, wymagające pewnej pobłażliwości i przystosowania się do niej.

Ale — czyż w pożyciu wspólnym, w stosunkach co dnia, co godzinę, nie musi przystosowywać się żona do męża, mąż do żony, córka do matki, siostra do siostry? Tu przystosowanie o tyle jest łatwiejsze, że je dyktuje poczucie intelektualnej i społecznej

wyższości, siła kultury umysłu wychowania, która — w stosunku do istot pierwotnych — wyklucza znamię pokory.

Ankieta wśród służby domowej wykazuje, że polska słuźąca daleko rzadziej zmienia miejsca, aniżeli niemiecka i inne.

Przeciętny czas słuźby naszych pracownic w jednym miejscu wypada dwa do sześciu lat na osobę, gdy w



Niemczech — według ankiety doktora Stillecha*) zaledwie pół roku.

Świadczy o mniejszem zepsuciu naszych pracownic. Po wojnie stosunki pogorszyły się, niestety. Hasła demagogiczne wstrząsnęły i tym kluczem roboczym. Jednak tam, gdzie — jak chce pani *m. b.* — jest organizacja pracy, gdzie samorzutnie stosowane bywa unormowanie czasu roboczego, zapewnienie godzin wolnych i urlopów, gdzie słuźąca uważa się za płatnego urzędnika, tem bardziej cenionego, im dokładniej i ściślej spełnia obowiązki swoje, tam kwestja słuźby domowej przestaje być tym wrzodem, który nie chce pęknać...

C. Walewska.

*) Die Lage der weiblichen Dienstboten in Berlin. Rok 1912.

2) ZRZESZENIA KOBIEŃ W KRAKOWIE

Związek prowadzi tani bufet na dworcu, z czego dochód idzie przeważnie na kuchnię dla inteligencji. Posiada również t. zw. w utrzymującej się dotychczas w Małopolsce gwarze galicyjsko-austriackiej (z której byłby czas oczyścić język) „Konsum” czyli współdzielczy sklep spożywczy dla członkiń.

Obrót tego sklepu wynosił w r. 1922 — 78.876.775 mkp., a w r. 1923 — 12.690.142.660 mkp.

Sekcja pedagogiczna urządza odczyty naukowe i historyczne dla robotnic fabryki cygar.

Sekcja ochrony dzieci prowadzi ochronkę popołudniową i dwie szkoły szycia, gdzie 60 dziewczynek uczyło się szyć i gdzie uszyły z materiału sekcji 100 sztuk bielizny, sprzedawanej dzieciom po bardzo niższej cenie.

Sekcja ochrony kobiet prowadzi misję dworcową, która w r. 1922 udzieliła pomocy 2.381 osobom i schronisko, w którym w r. 1922 przenocowało 13.000 kobiet, a w r. 1923 — 16.822 kobiety.

Biuro pośrednictwa pracy i szwalnia należą do tej sekcji.

Agiendy dawniejszej sekcji „Opieki nad żołnierzem” przejęło obecnie stowarzyszenie Czytelni im. Ks. Skorupki, dostarczającej dobrych książek żołnierzom w koszarach.

Czytelnia Zarządu posiada 5.500 dzieł treści beletrystycznej, i 300 abonentów. Frekwencja dzienna — 80 — 100 osób.

Do związku należą: Katolickie stowarzyszenie robotnic fabryki cygar,

Pracownice konfekcji damskiej, Stowarzyszenie słuź pod wezw. św. Zyty, Stowarzyszenie pracy kobiet w Tarnowie i Ziemianki Krakowskiego okręgu.

Przewodniczącą Związku jest hr. Marja Wodzicka, wiceprzewodniczącą ks. Sapiężyna.

Związek ziemianek w Krakowie, założony w r. 1912, ma na względzie te same cele, co takiż związek w Warszawie, stanowiący obecnie główną centralę, z którą związek krakowski pozostaje w łączności od r. 1923.

Powołano do życia szereg sekcji, ale z tych czynnymi są tylko sekcja ekonomiczna i sekcja drobiowa, zakładająca stacje zarodowe i gniazda kur zielononóżek. Uchwalone zostało obecnie wznowienie sekcji pszczelarskiej, ogrodniczej i oświatowej.

Uświadamianie kobiet wiejskich pod względem narodowym i społecznym leży także w zadaniach związku. Powołana jest do tego sekcja oświatowa, organizująca czytelnię i odczyty z dziedziny gospodarstwa, higieny, przemysłu. Ale sekcja ta nie jest czynną dotychczas.

W sprawozdaniach z wolnych zebrań za r. 1923 zarząd uskarża się na brak zainteresowania pracą u członkiń, na opieszałość i nieruchliwość tychże. Na 134 zgłoszenia, tylko 31 osób płaci wkładkę. Wskutek nie dość rychłego zakupna akcji przez panie ziemianki, nie zdołano zebrać kapitału

na uruchomienie wylegarni, zakupionej przez sekcję drobiową, wskutek czego trzeba było posprzedawać udziałowcom poszczególne części tejże.

Cała praca Związku ogranicza się do pracy wydziału. Jedną z członkiń zarządu założyła wytwórnię kilimów w Olszowicach (p. Świątniki Górne pod Krakowem). Inne w myśl celu rozwijania kobiecego przemysłu uczą haftów i robót kobiety wiejskie. Wystawy tych robót bywają urządzone na wsi.

Związek prowadzi Koła Matek chrześcijańskich, kółka dziewcząt, pracuje także po wsiach t. zw. Domach i komitetach parafjalnych, które spełniają do pewnego stopnia zadania Domów ludowych.

Jakkolwiek fundusze związku nie są duże, to jednak złożył on składkę 270.000 mkp. na instytucję rozdawnictwa obiadów S. Samuela dla biednej młodzieży szkolnej.

Przewodniczącą związku jest obecnie p. Schmidtowa, wiceprzewodniczącą p. Buszczyńska, sekretarką p. Wimmerowa.

Sekretarjat jest czynny we wtorki i w piątki od 11 — 12, na ul. św. Jana 3, II p.

Działająca od r. 1877 w Anglii, a później w Ameryce organizacja Young Womens Christian Association — Chrześcijańskie stowarzyszenie młodych kobiet, dała początek Związkowi młodych Polek, który, ja-

ko taki, jest czynny w Krakowie od lutego 1922 r.

Przypominamy tu pokrótce przebieg powstania tej instytucji.

W maju 1919 r. przybyły do Warszawy ze Stanów Zjednoczonych na zaproszenie Ministerstwa Zdrowia delegatki Stowarzyszenia młodych kobiet i założyły tu ogniska dla pielęgniarek i dla dziewcząt, pracujących w biurach, w handlu i przemyśle. Z tego początku powstała w r. 1922 samodzielna organizacja miejscowa, znana pod nazwą „Polskie Stowarzyszenie młodych kobiet“.

Za przykładem Warszawy poszedł Kraków, zapraszając do siebie w listopadzie 1920 r. amerykańskie delegatki. W styczniu zaś 1921 r. w uzyskanym przez wojskowość lokalu (ul. Grodzka 50) otwarto z ich pomocą Kluby pracownic z warsztatów wojskowych Kluby pielęgniarek, a następnie i urzędniczek wojskowych.

Amerykanki odgrywały przy tem rolę instruktorek i doradczyń, podczas gdy miejscowe panie, zrzeszone w Komitecie współpracy z Y. W. C. A., tworzyły zarząd, prowadząc całą akcję.

Z początkiem roku 1922 Amerykanki opuściły Kraków, pozostawiając tu całe urządzenie instytucji i pewną kwotę pieniężną dla jej prowadzenia. Odtąd kluby przeszły całkowicie pod

zarząd polskiego komitetu. Opracowano nowy statut, zatwierdzony przez Ministerstwo, i w lutym 1923 nastąpiło ukonstytuowanie się nowej organizacji oraz rozpoczęło się jej pewne istnienie, jako „Związek młodych Polek“.

Organizacja warszawska i organizacja krakowska stanowią jednostki od siebie niezależne, ale są jednolite co do akcji: pracują obie w duchu narodowo-religijnym. Celem ich jest gromadzenie w swych klubach młodych kobiet, pracujących w biurach, w przemyśle i w handlu dla dostarczenia im rozrywek kulturalnych i towarzyskich oraz ułatwienia wyrobienia moralnego, umysłowego i fizycznego. Charakter społeczny i wychowawczy mają zatem urządzane odczyty i pogadanki, wspólne rekolekcje,



kursy naukowe i praktyczne, lekcje gimnastyki i tańca oraz czytelnie.

Materjalną stronę życia ułatwiają: tania kuchnia, prowadzona przez zarząd, towarzystwa samopomocy, urządzane przez poszczególne kluby i kolonje wakacyjne.

Członkinie Związku, posiadające prawo głosu w jego sprawach, pracują ideowo w zarządzie i w klubach, płacąc składki, odpowiednie do rodzaju członkostwa. Obecnie członkinie zwyczajne płacą 50 gr., wspierające 10 razy tyle, co zwyczajne, a założycielki 10 razy tyle, co wspierające.

Członkinie Klubów, nie będąc członkiniami Związku, a przeto nie mając prawa głosu w jego sprawach, płacą tylko wkładki klubowe na pokrycie wydatków tychże i korzystają ze wszystkich urządzeń i udogodnień Związku.

Instytucja krakowska prowadzi w swoim lokalu na 1 piętrze biuro Związku, czynne codziennie od 10 do 1-ej, oraz dwa kluby pracownic handlu i przemysłu, liczące razem około 100 osób. Na drugim piętrze mieszczą się dwa kluby urzędniczek różnych kategorii, z których każdy liczy około 100 członkiń. Każde piętro posiada oddzielną biblioteczkę i czytelnię. Kluby są otwarte od 6 do 9½ wieczorem.

(c. d. n.).

Marja Hornowska

2)

DOM

II

Pisma codzienne podały niedawno komunikat Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego, w którym ogłoszono, że starający się o posadę w szkołach średnich powinni przedłożyć świadectwo zdrowia, świadectwo moralności i dowód obywatelstwa polskiego. Nie wchodząc w badanie przyczyn, dlaczego tylko w okręgu krakowskim i dlaczego tylko dla szkół średnich postawiono takie wymagania — trzeba przyznać, że, jeśli te przepisy zostały podyktowane naprawdę tylko przez interes pedagogiczny, jeśli nie będą służyły do innych celów — to w zasadzie niema nic słusniejszego.

Kto chce uczyć i wychowywać młodzież, musi być fizycznie i moralnie zdrowym i musi być związany z narodem, do którego młodzież ta należy. A jeśli to się stosuje słusznie do nauczycieli, to w o ile wyższym stopniu powinno się stosować do rodziców?! Kto chce zostać ojcem lub matką, a więc nie tylko przekazać dzieciom swoje skłonności fizyczne i moralne, ale także być odpowiedzialnym przed nimi samymi i przed narodem za cały ich rozwój i wychowanie — czyż nie powinien tembar-

dziej posiadać wszystkich koniecznych warunków?

A jednak tak, jak dotąd sprawy stoją, względ na zdrowie i kwalifikacje wychowawcze przyszłych rodziców żadnej roli nie odgrywają przy zawieraniu małżeństw. Ciągłe jeszcze każdy ma prawo obarczać społeczeństwo potomstwem, często nie tylko upośledzonym fizycznie, wskutek dziedzictwa, ale także wskutek złego wychowania i moralnie okaleczonym.

Te same państwa, które już od wieków czuły się powołane do roztoczenia opieki nad życiem, mieniem, a nawet moralnością obywateli — w stosunkach rodzinnych tylko od tej opieki zupełnie się usuwają, czy to hołdując zamierzczłym szcążkom władzy patryarchalnej, czy też zbyttno ufając instynktom i sumieniu rodziców.

Jedna Ameryka, która w życiu społecznym pod względem urządzeń praktycznych wyprzedza zawsze inne narody, w ostatnich dziesiątkach lat zrobiła bardzo ważny krok i w tym kierunku. Żądanie świadectw zdrowia od tych, którzy chcą wejść w związki małżeńskie — jeśli będzie

skrupulatnie i bezwzględnie przestrzegane — stanie się bezwątpienia prawem doniosłym i błogosławionem w skutkach. A, być może, niedaleki już czas, kiedy tam, pod wpływem działalności pedagogicznej takich dzielnych obywateli, jak Dewey i inni, żądane będą od przyszłych rodziców, a w każdym razie od przyszłych matek, także i świadectw kwalifikacji do pracy wychowawczej.

Zanim to jednak nastąpi, zanim, zwłaszcza za przykładem Ameryki, między innymi i nasze państwo otoczy opieką prawa dzieci do zdrowia i do należytego wychowania domowego — powinna wystąpić inicjatywa prywatna, powinna działać opinia publiczna. Trzeba, aby w szerokich sferach naszego społeczeństwa rozpowszechniło się i ugruntowało przekonanie, że obowiązki rodzicielskie są doniosłe i odpowiedzialne, że przekazywanie dzieciom ciężkich chorób wskutek własnej lekkomyślności jest zbrodnią, popełnioną na nich i na narodzie, a zaniedbanie ich rozwoju i wychowania — śmiertelnym grzechem względem wszystkich.

Trzeba, aby nareszcie wszyscy zrozumieli, że macierzyństwo jest po-

wołaniem poważnym i trudnym, które wymaga nie tylko zdrowia fizycznego i moralnych kwalifikacji, nie tylko zamiłowania i zapału, ale i systematycznego, fachowego przygotowania. Dyktantyzm i lekkomyślna dewiza: „jakoś to będzie!” nigdzie nie są tak szeroko stosowane, ale też i nigdzie może nie pociągają za sobą tak fatalnych skutków, jak tutaj.

Ileż to młodych matek, zaskoczonych całym mnóstwem trudnych i zupełnie sobie nieznanych zagadnień higienicznych, psychologicznych, wychowawczych — rzuca się rozpaczliwie do mniej lub więcej udanych książek popularnych i poradników wszelkiego kalibru — przeważnie bez pożądanego skutku! A ile z nich zupełnie nieświadomie popełnia na dzieciach swych błędy, które mszczą się nieraz fatalnie przez całe życie!

Czas trwania obowiązków rodzicielskich podzieliłam na trzy główne okresy. Okres pierwszy, który nazwałam „wychowaniem potencjalnym”, obejmował czas przygotowania do roli wychowawczej. Tu, obok troski o zabezpieczenie przyszłym dzieciom najlepszych warunków dla zdrowia i utrzymania, bardzo ważną byłaby troska o wszechstronne przygotowanie młodych dziewcząt do zadań macierzyństwa.

W tym celu powinny powstać odpowiednie kursy i studia przygotowawcze dla przyszłych matek.

Dla sfer o niższym wykształceniu mogłyby to być systematyczne cykle wykładów popularnych, uwzględnianych przez szkoły powszechne, przez uniwersytety ludowe lub inne towarzystwa oświatowe, dla dziewcząt o wykształceniu średnim mógłby to być kurs pedagogiczny, n.p. przy seminar-

jum nauczycielskim albo szkole wydziałowej; dla kobiet zaś o wyższym wykształceniu — odpowiednie wykłady przy „studjum pedagogicznym” na uniwersytecie. Czas trwania tej nauki, dobór przedmiotów, ewentualnie rodzaj egzaminu końcowego, zostałyby ustalone przez siły fachowe. Może z czasem i władze państwowe, i samo społeczeństwo by uznało, że bez tych świadczeń, jak bez świadczeń zdrowia, nie powinno się dostawać pozwoleń na zawarcie małżeństwa. W każdym razie można napewno twierdzić, że młode matki kiedyś błogosławiłyby ten przymus państwowy czy też opinii publicznej, dzięki któremu zdobyły wszystkie dane, potrzebne do wychowania dzieci zdrowych fizycznie i moralnie. Czy mam wspominać o błogosławionych skutkach, stąd wypływających także dla szkoły, społeczeństwa, a przede wszystkim dla najbardziej tu zainteresowanych, t. zn. dzieci.



Jak widzimy, punkt ciężkości leży właściwie w tym okresie wychowawczym, on powinien dać wiedzę ogólną i praktyczne wskazówki postępowania z dziećmi, zarówno w okresie wychowania przedszkolnego, jak i w okresie szkolnym.

Program tego studjum pedagogicznego dla matek ułożą kiedyś rozmaitego rodzaju fachowcy. Zabiorą tu głos lekarze-higienicy, nauczyciele wychowania fizycznego, psychologowie-pedagogicy, dydaktycy rozmaitego rodzaju, zabiorą głos inteligentne, a doświadczone matki, które na własnej skórze i we własnym ciężkim trudzie osiągnęły pewną wiedzę w tym kierunku. Odbędą się zapewne zjazdy międzynarodowe, nastąpi szeroka wymiana myśli w słowie i piśmie, zanim zostaną ustalone najlepsze metody.

Nie luję się, aby to prędko nastąpić mogło. Tymczasem jednak, nim osiągniemy ten stan najidealniejszy, możnaby przynajmniej częściowo niejedno naprawić. Mam tu na myśli takie sprawy pilne, jak nawiązanie kontaktu między domem a szkołą, uregulowanie sprawy korepetycji i t. p. W sferach oświeconych naszego społeczeństwa, wśród rodziców, świadomych swoich obowiązków, dużo już dziś mamy jednostek, które mogłyby i chciały współdziałać ze szkołą w pracy pedagogicznej. Różne objawy, jak zebrania i wiece rodzicielskie, deputacje do władz szkolnych, a wreszcie i głosy pracy codziennej — wskazują, że grunt jest już dostatecznie przygotowany. Należałoby tylko przystąpić do zorganizowania współpracy stałej i systematycznej. Kto ma wystąpić z inicjatywą?

(c. d. n.).

K. S.

STARY SĄCZ

ZE SZKICOWNIKA.

Gdy człowiek bardzo znużony znajduje się na zielonym wzgórzu — wtedy przychodzi doń wypoczynek z całym czarem i hojnością swych darów. Przestrzeń staje się morzem dla jego oczu, powiew powietrza — falą lagodną, horyzont, zamknięty lasem, daje cudowny, żywy mur, na którym wspiera się wzrok.

Pagórki i niebieski łuk oddalonych gór padobne są melodji.

Zieloność bliska cieszy i rozwesela.

Przychodzi pogoda codzienna i radość, radość nieznaną, gdy jest się znużonym.

MIASTECZKO KLASZTORNE—STARY SĄCZ.

Rynek Starego Sącza porasta dziś trawa. Tworzy zielone plamy wśród szarych kamieni, świadcząc o rzadkim tu ruchu kołowym. Przez

plac, nadmiernie wielki, idzie głos pustki, jak w osamotnionym po wyjeździe gospodarzy dużym domu; wiatr przynosi kurz, śmiecie, tu i owdzie wloką się żdźbła słomy.

Spełnia się jakgdyby proroctwo błogosławionej Kingi i jej spowiednika, ojca Boguchwała... „Miasto tych szkarłatnych postawów, których dotąd dostatkem u was przedawają, oset i pokrzywy gęste wyrosną”. (Długosz).

Czworobok placu zamykają domki, niektóre dawne, po parę wieków liczące, z „sobotami”*), o czterospadkowych gontami krytych dachach. Jest tam jedna kamieniczka narożna, cudem ocalała, pełna wyrazu, o podwójnej kondygnacji dachów, staro-

*) Są to właściwie bardzo wysunięte nad chodnikiem okapy dachu, niepodparte słupkami.

świecka, wytworna i harmonijna. Plac psują nowe piętrowe domy, bez stylu i sensu wzniesione, chluba współczesnych mieszkańców Sącza.

Jednak współczesność nie położyła tu przemożnego piętna. Raczej jest ona gościem nieproszonym, parwenjuszem, który zamieszkał w szanownych, staroświeckich ścianach i nieudolnie, a zarozumiale wśród nich gospodarzy.

Dzisiejszość nie ma tu tymczasem wiele do powiedzenia poza tem, że przez Stary Sącz idzie do Szczawnicy trakt, którym codziennie, sapiąc i skrzecząc, przewalają się ciężkie, przeładowane publicznością samocho- dy,—poza garb arstwem, dość rozwiniętym, poza lichym jarmarkiem i wątlm pośredniczym handlem.

To, co naprawdę jest w Starym Sączu, co żyje tu i trwa pomi-

mo lat, to przeszłość o barwach zatartych i zamatowanych. Wspomnienie, koloru malachitu i krwawnika, daje mu twarz — wspomnienie z przed siedmiuset lat, zrodzone w dalekich piastowych czasach, wisi nad miasteczkiem, którego początku nie znają kroniki.

Wysunięte ku południowo-zachodnim kresom Polski, Księstwo Sądeckie widziało się powielokroć zalewanem przez żołdactwo czeskie, węgierskie, niemieckie, austriackie — podlegało tatarskiej nawale — i otrząsało się z kłopotów, nieszczęść i trosk w znacznym stopniu dzięki opiece i dobrej gospodarce suwerena — klasztoru, ufundowanego w 1257 r. przez królowę Kingę, żonę Bolesława Wstydliwego.

Klasztor zlewał na podległy sobie Stary Sącz przywileje rozliczne. Dzięki nim rozrastał się stan mieszczański, w XVI i XVII w. powstawały jeden za drugim cechy rzemieślnicze. Kwitła wytwórczość. Sącz był miastem bogatym i handlowym: na rynku jego piętrzyły „postawy sukna” i płócien, odbyły się znajdowały wyroby garncarskie, bednarskie i kowalskie; doskonałe piwo wyrabiała niemal każda rodzina. Tablica, wmurowana w kościele katedralnym, upamiętnia przyjazd Jana Sobieskiego w drodze powrotnej z pod Wiednia; zapiski klasztoru mówią o odwiedzinach panów, biskupów i królów.

Od rynku rozchodzą się ulice i uliczki, wijące się niekiedy kręto, czasem zakreślają łuk lub kończą się niespodziankowym wylotem na wzgórze, las albo dalekie pole. Opatrzono je nazwiskami ludzi, Polsce zasłużonych — wśród nich Szczęsny Morawski, miłośnik i znawca Starego Sącza, autor wielkiego dzieła: „Sądeckczyzna”, ma tytuł do szczególnej wdzięczności ludzi miejscowych.

Czyste, wybielone domki patrzą oknami, pełnymi zieleni; wielkie bramy, zajezdne — wrota, łopatrzone daszkami, mówią o niedzisiejszym ich sposobie budowania i przeznaczeniu. Miasteczko leży na wzgórzu, na wysokości 321 m. nad poziomem morza. Droga pomiędzy półkami prowadzi doń od stacji, skąd okiem ogarnia się spiętrzenie domków, kościołek cmentarny i cmentarz, wielkie zamczysko klasztorne o wieży kościelnej, zakończonej misterną koroną — mitrą miedzianą, spatynowaną przez czas.

Stary Sącz czeka na drzeworytnika. Proste, staroświeckie, pogodne piękno miasteczka w tej najstarszej technice rytowniczej mogłoby znaleźć najlepszy dla siebie wyraz. Tymczasem dzięki naszemu niedbalstwu nie posiada nawet starannych i umiejętnie dobranych pocztówkowych zdjęć fotograficznych.

KLASZTOR.

We wschodniej części miasta stoi klasztor. Wysoki mur odgradza go od świata, — najbardziej wysunięta wieża przetrwała kilka stuleci, dach jej pokrył się nalotem ziemi i porasta wesołą roślinnością.

Niedostępność, tajemnica, dumna wzgarda dla życia przemawiają z tych ścian. Za niemi spróbowała się ukryć niezmiennność, wiara i lęk przed potęgą ułud świata, którym rządzi szatan.

Poddane twardej regule, od siedmiu wieków Klaryski pracują tu nad zbawieniem dusz własnych i cudzych. Mają surową klauzurę. Przysięga zakonna zamyka je tu na zawsze. Jedynie przeorysza ma prawo wyjazdów.

Królowa Kinga jest założycielką klasztoru. Wola jej, mocne natężenie psychiczne, energia i temperament zaiste musiały być niepospolite i niezwykła siła wpływu i sugestji, skoro wystarczyły na stulecia. Do dziś widzi się i czuje, że fundament pod trwanie i byt tego klasztoru położyła ona; do dziś z miłością i czcią mówią o niej, jak o osobie żywej, podobne mieszczyki Starego Sącza, a dzień jej, dzień 24 lipca, święcony jest uroczystością. Do dziś chodzą o niej pomiędzy ludźmi legendy. Trumienka srebrna z jej kośćmi (relikwiami) mieści się w pięknej renesansowej kaplicy kościoła klasztorowego, — duży obraz przedstawia ją, jako Klaryskę w szarym habicie i czarnym zawoju. Żadna z jej następczyń nie dorównała jej sławą. — Niedaleko klasztoru płynie źródło, ujęte w studnię — ludzie okoliczni nazywają je źródłem Kunegundy i wierzą w moc leczniczą jego wody.

Ona to ujęła pierwsze pokolenie sióstr w twarde, żelazne prawo, nauczyła pokutować, być posłusznymi, pościć i dręczyć siebie do ostatnich granic. Ona odwróciła je stanowczo od rzeczy ziemskich, ich wielorakości, barw i dźwięków — i rozkazała, by za murem zapanaowała jednostajność i niezmiennność — ona ufundowała tu odrębne państwo, urągające życiu, i zamknęła je na siedem pieczęci. — Bieg dni zaczęły znaczyć jutrznie i nieszpory, hymny pokutne i medytacje. — Dusza urabiała się stopniowo na nową modłę. Kalczała, wykrzywiała lub krzepła i wznosiła się w odosobnieniu, w odcięciu od wrażeń, w spokoju i zapomnieniu i stawała się z biegiem czasu czemś zgoła odmiennem od duszy ludzi świata. Klasztor XIII stulecia był akumulatorem energii duchowej, potęgował i wyciągał do zenitu psychiczne możliwości swych adeptek, żadnych niepospolitego życia kobiet; znajdowały tu one pole dla swych marzeń i egzaltacji, dla swej woli i inicjatywy czynu: — Rosły. Promie-

niowały na okolicę, na kraj, wierzący, oczekujący cudów, jeszcze w sobie nieokrzepły i młody.

Wyraślało poczucie wyższości tego odosobnienia, tego życia w wieży. Jedynymi przedstawicielami świata stali się ksiądz, zakrystjan, biskup, — z czasem dzieci.

I należało tylko wielbić Boga i kontemlować jego doskonałość. W tem winny były upływać lata..... bez zmian.

Coś z tego niezmiennego trwania zachował do dziś klasztor, coś z dumnej pogardy. Urok starości zatrzymanych w biegu stuleci osiadł na kamieniach jego budowli i pozornie płynie od sióstr, zamkniętych murami.

Przez gęstą sieć kraty półksiężycowego okienka w rozmównicy zamajaczył przedemną ślad, napomknienie twarzy zakonnicy; poprzez rozchylenie zasłon w kaplicy Kingi ujrzałam chudą rączkę przeoryszy, którą całowała wieśniaczka, składająca do skarbonki grosz „na kanonizację”.

Zamknięte na siedem pieczęci ma być to życie — i bez zmian.

A jednak... Bujna natura, rok z ponętami swych przeobrażeń wyprawiać musiał nieposkromione harce w ogrodach klasztornych. Mówią, że ogrody te są piękne. Jak śpiewać i krzyżeć w nich musiała roślinność na wiosnę i latem barwami i wonią! I jakie gamy nowych uczuć, mocnych przywiązań do tego „życia” musiały się rodzić „malgré tout” pod ciemnym habitem mniszki.

— A zresztą potęga czasu czyniła swoje, i pomimo kilkumetrowej wysokości murów coraz nowem stawało się oblicze klasztoru, które po swojemu urabiała historia i na którym pomimo wszystko piętno swe kładło życie. — Coraz nowe pokolenia sióstr przybywały. Przez klasztor przepływały różne epoki życia Polski — rozmaite kobiety, różnoraka psychiczna glina — i oto pomimo sprzeciwu i trwałości kanonów — ludzka treść klasztoru uległa zmianie i jednak była echem zmienawidzonego „świata”.

Liczne węzły wiązały klasztor z życiem extra muros. Już chociażby przez to, że materialne jego istnienie fundatorka, w rzeczach doczesnych trzeźwa, oparła na Starym Sączu i pięćdziesięciu kilku włościach księstwa Sądeckiego, wyjednanym u męża, księcia Bolesława Wstydliwego, jako zastaw za posag, a następnie otrzymanym w posiadanie wieczyste. Zarząd tymi olbrzymimi dobrami, wyściskanie z nich daniny, oddawanie w dzierżawę, piecza nad kmiotkami — wszystko to w pewnym stopniu kaziło czystość i pozaziemskość klasztoru, nawet w pierwszym pokoleniu zakonnic.

Potem — najazdy tatarskie trzy-nastowiecza straszliwą przyniosły grozę, ucieczkę, rozproszenie sióstr, tułactwo.

Rozterki wewnętrzne Polski dzielnicowej odbijały się na modus vivendi klasztoru. Miał on swoją politykę i nieraz lawirować musiał wśród zawiloci sporów książęcych, wśród targów panów krakowskich z biskupami, wśród niewygodny kresowego położenia blisko granicy Czech i Węgiei.

Życie społeczności mniszek, pełne więc było perypetyj ziemskich — i coraz nowe, z epoką związane, oblicza musiały mieć „siostrzyczki św. Klary“, mocno zamknięte poza murami klasztoru Ducissy Cunegundis.

Długa lista kilkudziesięciu przeorysz z datami ich wyboru i śmierci pozwala domyśleć zmienną, falistą linię rozwoju klasztoru. Zresztą istnieją dokumenty: spisy inwentarzowe, pamiętniki (klasztorne) sióstr, nie licząc historii Długosza o Kindze, które dają materiał faktów. Mowa ich jest sucha — trzeba pomiędzy zwięzłość słów wlać płynność i żywość dnia codziennego, trzeba nastawić oczy i uczucie na przeszłość.

Klasztor miał czasy świetności w wieku XIII, w epoce cudów i świętych, i od Łokietka przez dwa prawie wieki. Zewnętrzne, pogardzane życie podsycalo zawsze zarzewie, płonące w klasztorze, i stan klasztoru był na odwrót termometrem, mierzącym gorącość nastroju mistyczo-religijnego,

lub zgola dewocjonalnego społeczeństwa. — Głos reformacji sączył się poprzez mury klasztoru, krewni-heretycy libertinizmem zarażali — Wtedy to biskup Krakowski, Jerzy Radziwiłł, kalwin „nawrócony“, ukróca rozprężenie klarysek i narzuca im odnawiające surowe przepisy. W tych to czasach podwyższono o sążęń mur klasztoru i zaczęto budować wspólny dom — klasztor zamiast dotychczasowych chatek.

Wiek XVII — antyreformacyjny — podnosi splendor klasztoru. Za rządów Ksieni Anny Lipskiej (1630) wraca złota epoka. Wiek ten wszakże mącą klęski wojenne; szwedzi rabują kościół; „panny rozjechały się po fortecach do krewnych swoich“ (mówi kronika klasztoru).

W ciągu długiego swego życia mury klasztoru gościły panów potężnych. Przepych Renesansu zakwitał dni owych w siedzibie „sióstr ubogich“, które, jako wytworne gospodynie, czyniły honory domu. Miewał też klasztor narzucających się, dokuczliwych gości: na zboczach, pod jego murami, na folwarkach biwakowali i gospodarowali czasu wojen i zamieszek żołnierze czescy, węgierscy, niemieccy i polscy. W 1771 r. — wojska Dybicza. — Po rozbiornie 1773 r. znalazł się pod panowaniem Habsburgów; dobra jego i skarby za Józefa II uległy bezpardonowej kofiskacie, a samo istnienie zostało zagrożone. Siostry żalały się na to bezradnie i żałośnie w pamiętnikach. Kazano im opuścić klasztor. Zostały. Po długich stara-

niach udało się im wyjednać zgodę na prawo wymarcia na miejscu pod warunkiem uczenia dzieci. Dopiero cesarz Franciszek pozwolił na wznowienie nowicjatu.

Dziś klasztor liczy 30—40 sióstr. Reguła, podawnemu surowa, czyni je niewidzialnymi dla człowieka świeckiego. Wstęp za furte uzyskuje się za pozwoleniem biskupa z Tarnowa. Można wówczas zobaczyć refektarz, ogród, chór, Chrystusa, który według legendy, przemówił do błogosławionej Kingi, można rozmawiać z Ksienią. Jest nią dziś siostra, której świeckie nazwisko brzmi: Hańska. — Zakonnice zajmują się nauczaniem, prowadzą szkołę i seminarjum nauczycielskie dla dziewcząt. I — o przemożny wpływ epoki! naukę tę prowadzą według wymagań współczesnej pedagogii, posiadają dużą bibliotekę, pomoce do wykładu przyrody: mikroskopy, akwarja, okazy w spirytusie, zbiór minerałów. Brzmi to, jak herezja! Prowadzą też Sodalicję Marjańską i zapewne tą drogą wywierają wpływ na świeckie panny Sądeckie.

Są ubogie, — dziś są naprawdę ubogie. Wpisy za naukę, posagów wnoszone przez nieliczne zamożne kandydatki do zakonu — to jedyne źródło dochodów. Głodują, mają zaledwie kilka krów i ogród. — Księstwo Sądeckie — niegdyś wasal rozpadło się na gminy samorządne. Czasy dzisiejsze uderzają w furte Klasztoru!

(c. d. n.)

N. Samotyhowa

WŁOCHY I WIOSNA

WENECJA.

Pociąg gwizdnął przeciągle i opuścił halę dworcową w Mestre. Przez okna wagonu po obu stronach toru widać było małe kałuże, które stawały się coraz większe, tworząc stawy i jeziora. W końcu zlewać się zaczęły tak ze sobą, że utworzyły jeden ogromny obszar wody. Z tej wody wyrastały jakieś zabudowania, pojedyncze domy, latarnie, a wzdłuż biegnącego pociągu pojawiały się w równych odstępach słupy telegraficzne.

Wychyliłam się z okna wagonu. Słony powiew morza owiał mi twarz. Pędziliśmy przez lagunę, a tam, w dali majaczyło jakieś dziwne miasto.

Wtedy [to [zobaczyłam] Wenecję.

Siedziała na rydwanie w koronie na głowie, z berłem w ręku. Do rydwanu zaprzężone były pegazy, na których siedziały pyzate amory. Dookoła, na falach, uwijały się małe gondole i staroświeckie stateczki o wygiętych w półkole żaglach i o niezliczonej ilości masztów i reji. Pod spodem łaciński napis głosił szumną po-

chwałę królowej Adryatyku, a w górze ponad nią widać było Piazzettę z dwoma kolumnami, kościół i plac św. Marka, kampanilę i koronkę pałacu dożów.

Tak, to była ona. Oblewało ją różowe światło zorzy i wyłączało słońce. Rozhukane pegazy unosiły ją przez spokojną toń laguny, a ona uśmiechała się do wiernych amatorów. Żeglarze pozdrawiali ją z łodzi i okrętów. Była wspaniała, jak słońce i jak zorza. Doża w purpurowym płaszczu, podszytym gronostajami, stanął na brzegu Piazzetty i wrzuca do morza złoty pierścień, by je poślubić. Mandoliny i gitary śpiewają w gondolach. Piękna dogaressa z włosami upudrowanymi złotym proszkiem, pije słodycz z ust rozkochanego pafia, a ukradkiem sypie mu z pierścienia truciznę do pułhara. W pałacu dożów biesiada. Kuchciki na złotych półmiskach wnoszą gmachy lukrowanego ciasta, naśladujące pałace i kościoły. Przekrawa je sam doża nożem brylantowym, a wtedy wyfruwają z nich kolorowe ptaki z dalekich wysp i krążą nad stołem biesiadnym...

Cornaro... Grimani... Mocenigo... Salviati... Foscari... — dźwięczą nazwiska wielkich rodów, w których Młodość ze Zbrodnią podawały sobie ręce. I dalej w skrócie szalonym językiem widać się kolorowe wizje Tycjana, Veronesi'a, plafony w pałacu dożów!

Wenecja!

Niema wizji barwniejszej niż w świecie! Miasto morzu wydarte i powracające na łona fal, bo bez morza żyć nie może, bo żyć bez niego nie będzie nigdy, choć wie, jak zachłani jest i okrutne — oto wizja symboliczna Wenecji. Żywiółowa radość życia razem z Melancholią przechadzają się po placach, płyną wzdłuż opustoszałych pałaców w gondoli. Śpiew i radość, rozkosz i wesele i tyle, tyle smutku!

— Venezia!

Tym razem był to okrzyk facchy, cisnących się do drzwiczek wagonu. Pociąg stanął. Na kolorowej wizji Wenecji zasunęła się oszklona hala dworca. Zaraz też zjawily się śniade dziewczęta ze złotymi szpilami w wysoko upiętych włosach i po-

dawały podróżnym z leniwym uśmiechem koszyczki truskawek oraz pekate fiaschetti wina.

Poczem cofnęliśmy się napowrót ku lagunie.

...Tym razem nie byłam w Wenecji, śpiesząc ku tokańskim miastom i miasteczkom i nie widziałam jej na prawdę. Ale czy to, co widziałam nie było jej rzeczywistością prawdziwą i jedyną?

I czy naprawdę tam nie byłam?

LUKKA.

Z całej Lukki nie pozostał mi w pamięci ani jeden kościół, ani jeden fresk Fra Bartolomea, a tylko cysterna na placu, obok katedry.

Koło tej cysterny zgromadzony był tłum kobiet, czerpiących wodę. Czerpały ją w naczynia z miedzi i gliny, a także poprostu w pekate butelki po chianti, słomą oplecione. Woda z ust trytona sączyła się wąskim, wytrzymałym strumieniem, a gdy podstawiono pod nią butlę albo cystę, rozpryskiwała się w pierwszej chwili dokoła z dziwną przekornością.

Kobiety z pełnemi naczyniami, które stawiały sobie na ramieniu, lub przyciskały do piersi, oddalały się powoli, ociężale, rozkołysane w biodrach z ręką, podniesioną do góry, jakby to było ucho smukłego dzbana. W ich chodzie i ociężałości był wdzięk iście pierwotny. Wyglądały, jak ucieleśnione cysty i urny na tle tokańskiego krajobrazu.

Woda zdawała się być dla wszystkich tych kobiet tak cenną, czerpanie jej odbywało się w takim porządku z takim namaszczeniem, jakby to był pierwotny jakiś ceremoniał.

Przez chwilę sądziłam, iż padam ofiarą mistyfikacji i że kobiety nie wodę czerpią z cysterny, ale wino.

Choć była jeszcze wiosna, tokańska wiosna, pełna przesłodkiej woi glicynji i jej bladej siostry akacji, może już w winnicach na stokach wzgórz dokoła Lukki i Pistoji tłoczą wino złociste i rubinowe i ono to, a nie woda, tryska z kamiennych ust trytona?

Ale to było złudzenie. Z cysterny czerpano czystą wodą, ale czerpało ją ze słońcem.

I właśnie owe słońce podnosiło jej cenę.

Nie inaczej czerpały ją niewiasty Galilei wtedy, gdy przez ubogie wsie i miasteczka wędrował Pan. Cóż powiem innego robiła Marta, gdy Chrystus zbliżył się do jej domu? Czerpała w kamienną cystę wodę ze tudni. Było to zajęcie tak proste, jak rozpalenie ognia. Marta przyniosła wodę, przyciskając dzban do piersi, bo serce jej było mocno na widok Pana, a Marja odrazu usiadła u Jego stóp, aby słuchać słów bożych.

I wtedy to rzekł Chrystus: „Marto, Marto, troszczysz się i kłopotujesz około wielu rzeczy, aleć jednego potrzeba. Marja dobrą częśćkę obrała, która od niej odjęta nie będzie”.

Tak powiedział do Marty onego czasu Pan. Czyż mogła Go nie usłuchać? Postawiła dzban z wodą na ziemi i zbliżyła się do Niego.

A przez otwarte drzwi domu, na progu którego usiadł Chrystus, widać było szereg przechodzących kobiet z dzbanami na ramieniu, jak w Lucce...

Szły tak samo ociężale, powoli, jak ucieleśnione urny i kruże, i tak samo wyłączało je gorące słońce.

PADWA.

— Czy pani już widziała Il Santo?—pyta portjer w hotelu.

— Czy pani już była u Il Santo?—zapytuje kwiaciarka na placu.

— Pani jedzie oczywiście do Il Santo?—mówi konduktor tramwajowy, dając bilet.

Il Santo jest w Padwie na wszystkich ustach. Nie dodaje się imienia. Poprostu: Święty. Każdy wie, o jakiego Świętego chodzi. Mówi się o nim tak, jak o kimś bliskim, a znakomitym, o kimś, co się talentem i zasługą wzbil ponad szary tłum i czyni zaszczyt ojczyźnie. Przy każdej okazji wymawia się jego nazwisko i wymienia zalety i zdolności. Żyje życiem codziennem, pospolitem, niemal rodzinnem zarazem z wszystkimi. Jest bratem św. Franciszka z Asyżu i św. Andrzeja z Amalfi. Jeśli mu wystawiono brzydką, olbrzymią bazylikę, którą tłumy gapiów zwiedzają tak, jak piazza delle Erbe i piazza delle Frutta, to on temu nie winien.

Trzeba zaraz tam jechać po przybyciu do Padwy, bo póki się tam nie było, Padowianie nie dają spokoju.

Na placu przed bazyliką, w tłumie przekupniów, zachwalających świeczki i medaliki z wizerunkiem Świętego, doznaje się wrażenia, że ten cichy i skromny św. Antoni żył, czynił cuda i pochowany został w swym wspaniałym grobowcu jedynie

po to, aby właśnie przekupnie mogli w tem miejscu korzystnie spieniężyć swe tanie świętości.

Czyż jedynie w tym celu istnieje całe to prześliczne miasto ze swą starą, dostojną tradycją, zakletą w arkadowych ulicach i zaułkach, i w prastarym uniwersytecie, średniowieczne miasto z przepyszną patyną wieków?

Takie jest pierwsze wrażenie, gdy się podchodzi do bazyliki.

Ale w jej wnętrzy gasną sceptyczne uśmiechy.

Bazylika jest pusta i surowa. Na wielkim ołtarzu w bronzach świeczników, posągów i płaskorzeźb króluje Donatello, a na ścianach złocą się uduchowione wizje Giotta.

Cała mistyka tego szczególnego kościoła, który jest Domem ludzi, oplakujących swe straty i wierzących głęboko w to, że odzyskają to, co utracili, skupia się przy bocznym ołtarzu, tam, gdzie się odprawia nieustanne nabożeństwo i gdzie śpią prochy Il Santo'a w marmurowem łożu.

Padowianie dotykają z przymkniętymi w ekstazie oczami końcem palców marmurów. Dotykają ich tak, jakby dotykali ciała Świętego. Usta poruszają się, powieki przyomykają i otwierają, policzki pałają rumieńcem, jak w chwilach wielkiej, zmysłowej ekstazy.

Młoda dziewczyna przytrzymuje ręką bijące serce, by to serce, jak ptak, nie wyrwało się z piersi. W ciszy tumu, przy dźwięku dzwonek podczas Podniesienia, słychać wyraźnie bicie tego serca, które czegoś żąda, przyszło o coś błagać. Nie słychać nawet już dzwonek, tylko serce dziewczyny bije, jak dzwon.

Strata jej wielka jest, jak świat, niepowetowana i najgorsza ze wszystkich ludzkich strat na ziemi. Może straciła kochanka, a może złotę szpilę do włosów?

Oco przyszła się tu upomniéć? O co przyszli się upomniéć ci wszyscy, co się modlą żarliwie u grobu Świętego? Małe i wielkie straty, pospolite i wieczne, wszystkie stają się równe, bo ból ludzki jest zawsze bólem—jest jeden i ten sam.

Ci ludzie znieruchomiali przy grobowcu, z ręką wyciągniętą przed siebie, stojący w szczególnej pozycji jeden za drugim, tworzyli zimny, marmurowy fryz, podobnie jak postacie biblijne z płaskorzeźb, którymi wielki Donatello przyozdobił przybytek Il Santo'a!

I podobnie, jak te postacie legendarne, byli mi obcy i dalecy ze swymi wielkimi i małymi stratami, o które przyszli się tu upomniéć.



GRAZIA DELEDDA

SENTYMENTALNA NOWELKA

Przeł. z włoskiego J. D.

Przy tym hałasie drgnął i zbudził się: widzi gwiazdy, słyszy szmer fal. Karabin istotnie zsunął mu się z kolan, a on przez kilka chwil nie mógł się ruszyć, ani podnieść broni w tak silne odrętwienie wprowadził go sen.

* * *

Naza utrż dowiedział się, iż w chwili, gdy on zasnął na skale, stary skazaniec zbiegł istotnie, ale w krainę, której przejścia nie broniła żadna straż. Umarł.

* * *

Wieczór zapadł. Trzciny i akacje szeleściły, jak zwoje materji, coraz czarniejsze na szklitym przestworzu nieba, pełnym czarnych chmur. Fale krwawe i ciemne walczyły z podmuchem zimnego wiatru.

Żołnierze śpiewali na podwórzu, wyjąc żałośnie, jak psy, uwiązane na pustkowiu. Serafin, zamiast usiąść w prog, jak to był czynił dawniej, korzystał z chwil wolnych, by pisać nowelkę.

Śpiew żołnierzy, głuszony szumem wiatru, przypominał mu chór jednostajny dziewcząt, zbierających się w letnie wieczory nad brzegiem morza, by śpiewać wspólnie rodzaj żalostnej modlitwy i dawał mu to samo senne i tęskne wrażenie. Pisał pod wpływem smętku, czuł potrzebę wyplakania się, modlenia, złorzeczenia. Zdawało mu się, że wszystko dokoła niego miało tajemnicze znaczenie, nawet rzeczy najdrobniejsze, jak kropla wody, która na białym drzewie stołu błyszczała, oświetlona zachodzącym słońcem, jak kropla rosy. Kot czarny, o żółtych oczach, siedzący na rogu stołu, przyglądał się trochę ciekawie, trochę niespokojnie piszącemu żołnierzowi i starał się łapą wyciągnąć mu pióro.

Niekiedy, żołnierz-muzykoman przysiadł się do stołu i komponował romans o reminiscencjach, mniej lub więcej znanych. Kot przyglądał się ruchom drgającym ręki muzyka i wyciągał łapę, ale okrzyk groźny: „poszedł precz!” kazał mu ją wycofywać z godnością.

Serafin pisał, pisał. Pewnego wieczoru muzyk spostrzegł, że na końcu strony umieścił swoje imię i nazwisko.

— Przeczytaj mi to.

— Nie mogę — odrzekł zrazu Serafin, ale po dłuższem naleganiu ustąpił.

Nowela była w formie dziennika. Żołnierz, wysłany na jakiś czas na Nisidę, dla strzeżenia skazańców, ulega stopniowo litości dla jednego z nich, który go błaga o pomoc w ucieczce. Skazaniec jest mularzem,

używanym do brukowania ulicy, prowadzącej od morza do więzienia, stąd często ma sposobność mówienia z żołnierzem, któremu opowiedział długą historję o niesprawiedliwości i cierpieniach. Żołnierz, obdarzony głębokim poczuciem obowiązku, ulega wreszcie, i pewnej nocy, gdy pełni służbę, widzi, że skazaniec wychodzi i nie śmie krzyknąć na alarm. Z obawy jednak, by nie został wykryty, zabija się.

Kolega uznał nowelkę za wzruszającą i ludzką i osądził ją zwykłym zdaniem: — Wygląda na powiastkę rosyjską!

Serafin rozgniewał się.

— A czemu nie na amerykańską, także! Wyobraź sobie, że mnie się to przytrafiło — dodał, uderzając rękopisem o piersi.

— Ty jeszcze żyjesz!

— A jednak mnie się to przytrafiło... ..we śnie!

— We śnie?

— Tak, we śnie, albo w tym czasie naszego istnienia, które nazywamy snem, a które mogłoby być jawą. Alboż my wiemy, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy świadomość.

— Istotnie, gdy ciebie słucham, mam wrażenie, że śnię — odrzekł tamten ironicznie.

Rozpoczęła się ich zwykła dyskusja, po której zgodzili się tylko na jedno: oszczędzić kosztów przesyłki i wysłać w jednym wspólnym liście poleconym i romans i nowelkę do jednego z przeglądów medjolańskich.

Długo czekali nadaremnie odpowiedzi.

* * *

Mineły dwa lata. Serafin, jako nauczyciel w małej wiosce południowej we Włoszech, pędził smutne życie. Zarzucił wszelkie marzenia literackie i zdawało mu się, że upada coraz niżej. Wieś, w której mieszkał, żyła tylko plotkami i złością. On sam, jakkolwiek spokojny, znosił przykrości, i ukłucia. Największym jego wrogiem był korespondent tygodnika, literat, uważany przez wszystkich inteligentów wiejskich za jednego z największych pisarzy współczesnych. Ta wielkość nie przeszkadzała mu lękać się rywala w skromnym nauczycielu, który był tak naiwny, że mu opowiedział o swoich nowelkach... w koszu. Daremnie Serafin upewniał go, że już pisać nie będzie, literat chciał go gwałtem unicestwić. Biedny Serafin

cierpiał nietyle przez to, że go krzywdzono, ale dlatego, że przekonywał się z dniem każdym, że miłość i dobroć wśród ludzi nie istnieją.

Zresztą i on nie kochał nikogo, nawet swoich trzydziestu nieznośnych uczniów. Kiedyś postanowił sobie zakochać się w najpiękniejszej i najstrojniejszej pannie ze wsi, córce bogatego właściciela, brunetce, podobnej do figurki Zuloagi.

— Jak ją pokocham! — myślał. Nie jestem taki niemądry, by myśleć o małżeństwie, ale żeby tak móż pocałować ją raz i poczuć jej serce, bijące na mojem, tobym odżył. Jak to musi być pięknie cierpieć z miłości!

Ale kiedy przechodził pod oknami bogacza, figurka Zuolagi, która marzyła o wydaniu się za sekretarza ministerjalnego, zatrzasnęła z hałasem okno.

* * *

Zamieszkiwał stare domostwo, w którym zaczęto stawiać mury, potem zarzucono i dom rozpadł się w ruinę. Zaledwie dwie stancje na parterze, nędznie pokryte dachówką, służyły za mieszkanie nauczyciela. Schody kamienne, przytułek szczurów i jaszczurek, prowadziły na wyższe piętra, na które Serafin wzorem jaszczurek wdrapywał się nieraz, opierał o otwory pustych okien i myślał, że życie jego podobne jest do tego domu bez dachu i bez okien, którego ściany starzeją się bezpożytecznie. Z poza domu wyrastała góra, a w wiosenne noce wiatr niósł zapach cyklamenów, które rosły w krzakach. Maleńki, nieuprawny ogródek oddzielał szkołę od mieszkania nauczyciela. Nic smutniejszego, zwłaszcza w niepogodne dne jesienne, nad ten kawałek ziemi, pokryty nieużytkami. W pewien dzień, tak bardzo smutny, ponury i wilgotny otrzymał Serafin list z marką holenderską. Długo przypatrywał się zdumiony niebieskiej, przezroczystej kopercie, na której nazwisko jego wypisane było okrągłemi literami. Dziwne miał wrażenie. Kiedy widział swoje nazwisko tak napisane? przypominał sobie, że we wczesnej młodości, po napisaniu pierwszej nowelki, marzył o zostaniu sławnym pisarzem i otrzymywaniu codziennie listów eleganckich z bliska i zdaleka.

List z Holandji był pierwszym listem, jaki otrzymał z zagranicy. Kto mógł pomyśleć o nim w tak dalekim kraju. Otworzył list, prawie ze drżeniem, zaniepokojony.

* * *



14)

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

— Szto eto?! Razchaditie's!..

Ktoś ujął silnie ramię Wandy i uprowadził ją w przeciwną stronę. Szli śpiesznie zaułkami ubogiego przedmieścia.

Po kilku chwilach dopiero Wanda spojrziała:

Prowadził ją nieznajomy, młody człowiek — blondyn o ciemnych, złotawych oczach, ocienionych dużym rondem czarnego kapelusza. Z przeszłości dalekiej, z głębokiej, zapomnianej otchłani czasów spojrzały na nią te oczy....

Uprowadzał ją, jakby unosił jakiś poszukiwany zdawna, niespodziewanie odnaleziony, dziw. Był niespokojny, jakby obawiał się utracić...

Słyszając, że strażnicy zaczepiają i rozpytują ludzi, skrzył z nią nagle w boczną uliczkę, przyspieszył kroku i wszedł na cmentarz.

Milcząc, szli wśród mogiłek — coraz dalej, coraz głębiej, aż ucichły głosy z ulicy. Wtedy usiedli na ławce kamiennej pod brzozą, zieleniejącą pierwszymi listkami i raz jeszcze spojrzeli sobie w oczy.

Wspomnienie czy przecucie wielkiego szczęścia, bolesnej męczarni — krótkie, nagle, jak nieznajomej ręki stuknięcie w szybę okienka, zakolało do świadomej sfery jej duszy. A on zapytał:

— Kto pani jest?

— Nie wiem—odpowiedziała raczej sobie, niż jemu i, spostrzegając się natychmiast, dodała z widoczną przykrością.

— Pan pomyśli, że ma z obłąkaną do czynienia. Nie. Tylko zmęczyłam się trochę. Nazywam się Wanda Malcowska, jestem nauczycielką u państwa Lipowieckich, tu w Ostrołęce—mówiła z wysiłkiem i niechęcią. Ale on tego tłumaczenia nie słuchał. Ujął obie jej ręce i przycisnął sobie do piersi.

— Więc ja ci powiem, kto jesteś! Urodziłaś się z ostatniej kropli krwi ostatniego polskiego powstańca... Kwiatem jesteś mogilnym, co niepojętym cudem zakwitł pośród zimy!..

Wśród zgaszonych jesteś jedyna płonąca... Duszą jesteś, co z Duszą świata i duszą polskiej ziemi w niepojęte wchodźcie umie związki. Jesteś tą, której szukałem po globie w tęsknotach i snach!..

— Szedłem do ciebie przez śniegi Himalajów, przez skaliste pustynie Tybetu, przez dzikie stopy olbrzymiego carstwa i odnalazłem tak, jak widziałem tam: na pobojowisku, w wysiłku wieszczym, w ogniu widzeń...

Słuchała go, pełna zdumienia, a dokoła niej świat się tymczasem przemieniał, olbrzymiał, rósł... Wyjrzały z niewidzialnego istotne obli-

cza tworów, zadrgało powietrze nieskończoną ilością bytów.. Gdzieś w dali pełnią wszechzycia grało morze... Gdzieś w dali nieskończoną wyżyną, ku szlakom planet niosły się góry...

Świat ten był w niej i ona była w nim. Ocean wszechbytu falami swemi uderzał w jej duszę...

Nieprzytomna pochylała się na ręce nieznajomego.

ROZDZIAŁ XI.

KWIAT JABŁONI.

Bladoróżowy, przesubtelnej woni, kwiecie mój! O wiosennej jutrzence, u krynie młodości zakwitłeś pierwszy raz, a dziś płatki leciuchne, miękkie, sypiesz na głowy kochanków, co o świtanu w różany twój przyszli gaj.

Miłość ich wiedzie, miłość wybiera im ścieżki, miłość—cud kładzie im na usta wyrazy wiosenne, wonne, jak kwiat jabłoni, miłość stroi im lica barwą róż i złotem promieni z oczu ku oczom przeziera.

Zwarły się oczy. Moce utajone rzekły sobie tajemne słowo przeznaczeń: na wieki! przez otchłań śmierci przypląnę ku tobie.

Zwarły się usta purpurowe.

Pierś dziewczyny piersi męskiej dotknęła: otchłań przepastna, z której woła zew pragnień!.. głębina, dreszczem rozkoszy drgająca!..

Mocą nadludzką usta od jej ust oderwał.

— Nie tak kochać będziesz — powiedział twardo. — Miłość twoja będzie wieczystą tęsknicą, zapamiętaniem śmiertelnem i wyrzeczeniem!..

Codzień o świtanu przychodzą do różanego gaju jabłoni, a wietrzyk kwiat — jutrzencę sypie im na czoła.

Jan opowiada Wandzie o ziemiach dalekich, nieznanych, wschodniem obłanych słońcem.

Tam w mroku dziewiczych puszczy, w wiecznym milczeniu pustyni skalnych żyją mędrzy, tęsknotą ducha bijący nieustannie w zawarte szczerle podwoje Tajemnicy. Potężne duchy! On uczniem ich jeszcze młodym i słabym, ale mającym w sobie siłę lotu, dziedzictwo po nieznanym dotąd ojczyźnie, po matce, która miała potężny dar wieszczby i jasnowidzeń. On ich wysłannikiem do niej, do Wandy! Ujrzał ją w dali wielu tysięcy kilometrów, gdy mędrzy sprowadzili nań sen widzący.

Wstał i szedł do niej przez lasy krajów obcych, przez rzeki i stopy, przez bezdroża i gościńce, wiedzą duszy prowadzony, z niezachwianą pewnością, z oczekiwaniem radosnem.

Zdawna już brakło wśród „tęskniących“ duszy kobiecej, harfy Bożej, na której grałyby niewidzialne siły. Odszukał harfę... i szczęścia jest pełen. Teraz odejdzie, umiłowaawszy ją na wieki. Odejdzie i głosem duszy wołać ją będzie ku sobie, poprzez lądy i morza, poprzez piaski pustyni i stepów zielenie... A gdy kwiat lotosu zakwitnie, ona wstanie, odrzuci wszystko ze świata i pójdzie ku niemu jak on szedł ku niej, wiedzą duszy prowadzona, z niewzruszoną pewnością, z oczekiwaniem radosnem.

A wtedy na harfie złotostrunnej położy ktoś niewidzialne dłonie i może tęsknicy duchów, Prawdy spragnionych, podane zostanie kilka kropel ukojenia...

Wanda słucha baśni Wschodu, jak słuchała w dzieciństwie niańczyńskich powieści: z zachwytem. Nad życie miłuje baśni i twórcy baśni złote, przez morza i puszcze widzące ją Słońcu mamoczy.

Smutno, zwiewnie padają tego ranka płatki jabłoni na białą sukienkę Wandy.

Jan mówi o rychłym rozstaniu. Wbija sztylet ostry w serce i mówi o tem, jak o rzeczy prostej, koniecznej i nawet radosnej. Zgaśnie słońce!

— Zostań!

— Pielgrzym jestem wędrowny. Czas mi odejść. Czas ku wschodzącemu słońcu odwrócić znowu twarz.

— A ja?

— Ty zostaniesz. Struny niewidzialne nawiążemy między dusz naszych dwojgiem i latać po nich będą nasze tęsknoty. To wszystko. Więcej nie wolno nam, co ku Wieczystemu wciąż otwarte żrenice.

— Zostań jeszcze, choć dni parę, choć dzień!..

— Pilno mi. Pilno mi do cisz klasztornej celi mojej, pośród skał. Śpieszno mi do pracy, którą wykonać mam. Ty ani wiesz, ile drogocennych skarbów wzięłem z daru twojej ręki. Piłem z szumiącego miłości kielicha; oddychałem wonią nieznanych mi kwiatów, patrzyłem na ducha twojego królewskość... Teraz zanurzę się w toń nieskończonych zadumań, teraz skarby te w moce duchowe przetworzę, w siły nowe, władne...

Spuściła głowę ku ziemi. Serce jej jest czara, przepelnioną łzami, ale oczy nie płaczą.

— A ja?—pyta po raz drugi.

VICENTE BLASCO IBANEZ

2)

Przekład z hiszpańskiego. r. c.

STARUSZKA Z KINEMATOGRAFU

II

Następnego wieczora zjawiła się w kinematografie z miną bardzo nieśmiałą. Skurczyła się, aby wślizgnąć się niepostrzeżenie. Doszła do okienka kasy, odwracając głowę, aby kasjerka nie mogła jej poznać, ale woźny, pilnujący porządku przy drzwiach, podbiegł ku niej.

— O, co to, to nie! Znów pani przyszła wyprawiać tu brewerje!... Nic z tego, niema dla pani wejścia!

— Niech mi pan pozwoli wejść, mój złoty panie! Przysięgam, że się będę dobrze sprawowała.

Mówiła potulnie, jak dziecko, tak że w końcu i woźny i kasjerka zaczęły się śmiać.

Starowina ukłoniła im się z wdzięcznością, widząc, że pozwalają jej wejść; potem ukłoniła się jeszcze policjantowi, stojącemu przy drzwiach, tak uprzejmie, jak gdyby był starym jej znajomym. Zdawało jej się nawet, że to nie ten sam policjant, co wczoraj, ukłoniła mu się mimo to na wszelki wypadek! Znalazłszy się wreszcie na sali, szła naprzód, potulna i uprzejma. Kłaniała się grzecznie wszystkim spotykanym na drodze widzom, chociaż ani jeden nie odklonił jej się wzajem. Kilku spojrzło na nią ze zdziwieniem.

Oczy ich zdawały się mówić: „Biedna warjatka“.

Usiadła, kurcząc się, ile mogła, z obawy, aby nie przeszkadzać sąsiadom. Odwróciła zrazu kilkakrotnie głowę, aby przekonać się, czy woźni widzą ją, i aby wyczytać z ich twarzy wyraz uznania dla siebie. Ale wkrótce tak ją porwał wyświetlany obraz, że zapomniała o rzeczywistości. Prusak prześladował już Alzatkę i powikłany scenarjusz kinematograficzny zaczął rozwijać się na ekranie. Wreszcie ukazały się okopy z żołnierzem, który, zrazu odwrócony plecami do publiki, zwrócił potem ku niej głowę i odsłonił twarz.

— Albercie! Albercie!

Musiała ogromny zrobić wysiłek, aby się powstrzymać. Okrzyk ten wraz z łkaniem uwiązał jej w gardle. Trzęsła się jednak, aby nie narobić hałasu, jak dnia poprzedniego. Wyrzuciliby ją napewno tym razem już na amen i nie mogłaby wiedzieć więcej ukochanego swojego żołnierzyka.

Strach uczynił ją przezorną i gwałtowne jej wzruszenie rozplynęło się we łzach. Aby ulżyć sobie, szeptała do siebie w duszy, podczas gdy przysłonięte łzami oczy z religijną czcią wpatrywały się w obrazy na ekranie:

— Albercie!... dzieckol!... To ja, babka twoja... poznajesz mnie?... Będę przychodziła tutaj do ciebie co wieczór... co wieczór!...

Podczas następnego przedstawienia nie płakała już tak bardzo. Wychojąc, zagadnęła poufale woźnego, stojącego przy drzwiach, jak gdyby należała także do personelu.

— Widział pan, jak mój wnuk dobrze przedstawia?—A woźny, który słyszał już wielokrotnie jej opowiadanie i nie zwracał na nie wielkiej uwagi, przytknął palec do czoła i spojrział wymownie na kasjerkę. Oboje uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, jak gdyby mówiąc: „Zwarjowała babina, do reszty zwarjowała“!

Staruszka nie mogła zasnąć tej nocy. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Była egoistką, zachowała wyłącznie dla siebie szczęście swojego odkrycia. Albert miał jeszcze przecież na świecie kogoś więcej oprócz babki.

Następnego ranka postarała się rozsprzedać, jak mogła najprędzej, swoje zieleniny, nie oglądając się wcale na zarobek, potem, dużo wcześniej od innych, zatoczyła wózek do remizy. Kolej podziemna zawiozła ją na przedmieście. Znalazła się wśród szarego, nagiego pejzażu, pełnego dymiących kominów i budynków z czerwonej, niewyprawionej cegły, ponurych, jak więzienia, domów robotniczych...

Rozmówiła się z odźwierną jednego z tych domów: prawnuczek jej był w szkole, a wdowa po Albercie pracowała w fabryce.

Udała się tam, ale stróż — inwalida wojenny — zastąpił jej drogę. Wstęp wzbroniony! Żaden obcy nie mógł dostać się do warsztatów, w których fabrykowano naboje.

Pozostała przy wrotach, skąd widzieć mogła zdaleka kobiety, przechodzące tam i z powrotem przez dziedziniec w trakcie roboty. Wszystkie miały na sobie spodnie, jak do jazdy na rowerach. Roześmiała się prawie ze zdumienia, dostrzegłszy chłopięcą nieledwie, małą i szczupłą postać w niebieskim ubraniu robotniczym, która zatrzymała na chwilę toczony przed sobą wózek, pełen wiórków stalowych, aby ją zdaleka powitać. Była to wdowa po Albercie!

W południe, kiedy robotnice wyszły na śniadanie, mogła nareszcie zobaczyć ją zblizka. Miała cerę szarą, jak popiół, a oczy jej, większe, niż kiedykolwiek, podkrążone były sinawemi, bolesnemi obwódkami.

Usłyszawszy, że mąż jej, który nie żył już od roku, pokazuje się co wieczór na ekranie kinematograficznym, zaczęła płakać.

— Jak to jest możliwe?

Zdumienie jej było tak wielkie, że powstrzymało potok łez. Napróżno usiłowała zrozumieć babkę mężowską, powtarzającą wciąż słyszane od innych wyjaśnienia, których tak samo zresztą nie rozumiała, jak młoda wdowa.

— Co tu gadać: fakt jest, że, Albert gra w kinematografie. Przyjdź z małym. Będę na was czekała dzisiaj wieczorem.

Zaproszenie to wypowiedziała głosem nakazującym. O ósmej mają spotkać się przy wejściu do kinematografu, położonego na drugim końcu Paryża. Potem rozstały się. Biedni nie mają czasu do tracenia!

Wieczorem przyszli punktualnie. Wdowa miała na sobie skromną czarną suknię, kupioną w sklepie gotowych ubrań i prowadziła za rączkę dziecko, ubrane w najlepszy garniturek i uczesane, jak mały pazik.

Widząc, że robotnica chce dojść do kasy, babka zaprotestowała:

— Cóż znów!... Ja tutaj płacę. Znają mnie wszyscy; jestem tutaj, jak domowa.

I, ażeby zaznaczyć swoją popularność, przemówiła żartobliwie do kasjerki, a potem uścisnęła za rękę woźnego pilnującego wejścia, — swojego dawnego przyjaciela, — któremu dała tanie, umyślnie dla niego kupione, cygaro.

Wewnątrz sali przywitała się z kobietą, wskazującą miejsca, jak gdyby była dawną jej znajomą.

— To żona i dziecko mojego wnuka, tego, który przedstawia w kinematografie — objaśniła, wsuwając jej w rękę kilka susów.

Po czym rozsiadła się dumnie na miejscu wskazanem jej przez bileterkę, uważając je za lepsze od innych.

Ale przyjemność, doznawana z możności popisania się wielkimi swoimi wpływami, nie trwała długo. Kiedy ukazał się na płótnie Albert, bała się, ażeby biedna, siedząca obok niej cała w czerni wdowa nie zaczęła także krzyczeć. Ale młoda kobieta była milcząca i zwarta w bólu swoim. Wpatrzyła się w wizję rozszerzonymi gorączkowo źrenicami, przypominającymi źrenice morfinistek. Zaciskała całą siłą wargi, a po obu stronach jej ust ciekły dwa sznureczki łez.

Mały pazik w żałobie patrzył z całą nieświadomością dziecka, które słyszy rozmowy o śmierci, ale nie wie, co to jest. Znał tego żołnierza, to był jego tatuś; widział go, jak przyjechał do domu w tem ubraniu. Dlaczego więc nie wracał?

— Tatusiu! tatusiu! — szepnęła, wyciągając do obrazu obie rączki.

Matka i babka, nie przestając płakać, lekko odsunęły go w ciemność, aby zmusić dziecko do zachowania spokoju.

Przy wyjściu, przed rozstaniem się z niemi przy drzwiach kinematografu, odezwała się znów staruszka tonem władczym:

9)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

E M I L V E R H A E R E N

I ta wielka miłość, jakkolwiek nic się faktycznego nie stało — raptem umarła. Nie zabiło jej ani oddalenie, które ostudza — ani żaden nowy czar, który staje na drodze i świeżością nowych wrażeń zabija bledniejące wspomnienia.

Sprzeniewierzenie nie wynikło też z rachuby, z tego lub innego moralnego czy materialnego musu. — To wszystko było już w życiu i romansach. To nie jest historia Anielki z Bez Dogmatu lub Gemmy z Wód Wiosennych, które kochane i kochające porzucone są dla chwilowego kaprysu z Heterą. To nie Józefina, opuszczona przez Napoleona, któremu teraz potrzeba córki cesarskiej — To nie Judym i Justyna — dobrowolna ofiara na ołtarzu ideałów.

Heroina Verhaerenowska znalazła niebywałą rywalkę w Wielkim Nowożytnym Życiu, które mechanicznie bierze serce w swoje ramiona ośmiornicy i wysysa je tak, że na miłość niema w niem już miejsca...

Serce, wyrosłe po niebosięgi,
Nie kocha już nic prócz potęgi.
I zadość
Mu jest jakaś tragiczna, straszna radość...

Wóz Potęgi, mknącej do swoich oddalonych celów, przejechał po sercu żywym tak, jakby to była garść trawy...

Jakże się wobec tego zachowuje poeta?

Romantyk byłby cisnął za tym wozem piorunami gniewu... Wiersz Verhaerena kruszy się w tem miejscu na drobne kawałki, jak mowa, którą rwie krótki oddech wzruszenia... Sypią się kwiaty pięknych słów na grób ofiary. Lecz nie ma oburzenia, ani protestu w stronę kata! Gest, już napięty, został zahamowany, uległ zaprzeczeniu. Tak może spogląda Opatrzność na kwiat, kiedy już niepotrzebny opada nad już zapłodniałą zawiązką owocu...

„Raj” i „Magnetyzmy” uderzają nowością pomysłu — wbrew postanowieniu nowej estetyki, która orzekła, że pomysłów jest tylko kilka, powtarzających się wciąż w kółko w literaturach całego świata.

Jeżeli życie ludzkie sprowadzić do głównych linii jakiegoś takiego schematu pasportowego, to nie mielibyśmy czego narzekać na losy! — byłyby dziwnie do siebie podobne: „Urodził się — chodził do szkoły — ożenił się — i umarł” albo „Urodził się — nie chodził do szkoły — nie ożenił się — i umarł”. W tych dwóch wzorach zmieściłyby się wszystkie!

Pomysł w sztuce jest niczem innym, jak historią jakiejś duszy ludzkiej, dramatem jakiegoś życia. A każ-

da dusza jest niepowtarzalna i niepowtarzalnym jest każde życie! Jest nieskończoność pomysłów do dramatu, ponieważ jest nieskończoność dramatów życia...

Starą, jak świat, jest biblijna legenda o Ewie — ale Verhaerenowska Ewa jest nową! Odwieczna to jest historia: mężczyzna odjeżdża i porzuca — kobieta zostaje, płacze i umiera. Ale nowością w Verhaerenowskim poemacie jest rywalka abstrakcyjna — ewolucja, czyniąca serce do miłości niezdolne.

Nowością pomysłów jest zmieniająca się psychika z pokolenia w pokolenie w zatargu ze zmieniającą się techniką życia. Magnetyzmy nie mogłyby być dziełem ani klasyków, ani romantyków, bo za ich czasu nie było ani takich ludzi, ani takiego świata. Byron i Szekspir dawali swoim bohaterom szaloną ambicję i drapieżny, krwawy bezwzględność — ale zaopatrywali ich przytem w jakąś ideologię, bodaj najprymitywniejszą, która legitymowała ich czyny.

Bohater Magnetyzmów jest bez idei. W nim nie masz nic, tylko ta zimna namiętność wielkości, żywiołowa rozprężność gazu, dążąca do rozszerzenia siebie nieograniczenie, do napełnienia sobą świata!

Ta „ambicja dla ambicji” ma osobliwą właściwość zapładniania wyobraźni Verhaerena. Stworzył on całą rodzinę bliźnięco do siebie podobnych bohaterów kapitału, polityków, liderów partji (w poematach Władca, Bankier, Tyran, z poematu Lud trybun i Magnetyzmy). Zwycięzcami są oni nie tyle przez zdolności, ile przez bezwzględność i pychę i o ile pycha jest najwyższa i absolutna. Verhaeren używa słów tych w znaczeniu najwyższej pochwały.

„Brutalnie się odwrócił gest niemilosierny od tych rąk, wyciągniętych ku niemu błagalnie” — chociaż to były ręce tej, co go kochała i którą on kochał!

Jakimż musiał być jego bezwzględność względem innych ludzi! — to daje miarę.

Verhaeren lubuje się w tych arraywistach genialnych intrygą, przebiegłością i brutalstwem. Podoba Mu się zwinność, z jaką skaczą na szczyty po karkach ludzkich, jak wiewiórki po gałęziach — i ta zawziętość

kartoflanego pędu, z jaką gramolę się na światło z piwnicy, i ta pieść, zbudowana tak masywnie, że każdy atak jednym uderzeniem rozwała na dwoje — i ta maska komedjancka, która przylega do twarzy tak szczelnie, że nie przepuści na zewnątrz jednego drgnięcia duszy... Bo jedno rozczulenie, kilka łez, uronionych pod wpływem wspomnienia, nawet samotnie, może osłabić bezwzględność i pychę na jeden moment, ale na ten właśnie, kiedy przypadało ich zastosowanie, i ta depresja momentalna może być dostateczną, aby zaprzepaścić karierę i zarobić na nicość. Tak stało się z Trybunem w poemacie Lud.

Wobec upadku, którego poeta przechodzi w milczeniu wzgardliwym: „pycha była w piersiach jego za słabą i za ubogą — i zapłakał!” — oto jest wyrok na zwyciężonego.

O, jakże do tej plejady Wielkich Modernistów bliźnięco podobny Wilhelm Hohenzollern, b. cesarz niemiecki!... Doprawdy, on skupił w sobie wszystkie cechy, wyróżniane przez Verhaerena, w stopniu najwyższym: i pychę bezgraniczną, i przebiegłość, i brutalność, i zimny bezwzględność, odwracający się bez słowa od wszystkich rąk, wyciągniętych błagalnie...

Ale kiedy stanął na sercu Belgji zbrojną stopą i, jak pisklę, ją zdusił... kiedy Belgja spłynęła krwią i pokryła się gruzami swoich cudów i pamiątek...

Co myślał wtedy Verhaeren? Czy nie zachwiała się w nim fałszywa religja Nadczłowieka — tego, który stoi „po tamtej stronie dobra i zła”.

Tak wygląda przymierzona do życia doktryna.

POTĘGA CHRZEŚCIJAŃSTWA.

Po apoteozie wysiłku, walki, żarliwości i pychy — Verhaeren przechodzi do gloryfikacji wyrzeczenia się, pokory i miłości. Do bogatego już bukietu Wszelakiej Wspaniałości poeta zaprzagnął dodać jeszcze parę mistycznych lilij.

„Jutrzniami” i „Wysiłkiem” chwycić się będzie socjalista — „Panami” i „Złotem” nitscheista — „Świętym Janem” i klasztorem — chrześcijanin i mistyk.

Verhaeren był nitscheistą, ale bez nitscheańskiej nienawiści i ślepoty. Utraciwszy raz religję dogmatyczną, nigdy już do niej nie powrócił. — Ale nie był nieczułym na piękność i potęgę chrześcijaństwa — oceniał jego wartości dla życia.

(c. d. n.)



8)

KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

KOBIETA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

*)
日本女
カ
コン
ンス
キ

1. W Japonii nikt nie nosi bielizny. 2. Kimono, nemaki, haori. 3. Jaskrawe podszewki. 4. Nieskazitelna czystość dessous Japonek. 5. Hakama i haori; ich krój — jako wyraz gustu japońskiego. 6. Szczegóły stroju Japonek są nacechowane wdziękiem i miękkością. 7. Podszewki strojów japońskich są zawsze ładniejsze od wierzchu. 8. Zamożne Japonki używają strojów z czasów Toby. 9. Dziś najgłośniejsze geishe noszą skromne fryzury. 10. Tortury na makura. 11. Japonki nie używają klejnotów. 12. Japonki ubierają się również i po europejsku, niechętnie jednak zmieniają kostjum narodowy. 13. Krój strojów japońskich nie podlega zmianom. 14. Kaprysy mody doprowadziłyby mężów do rozpacz.

W Japonii nikt nie nosi bielizny; natomiast używane są bawełniane bluzy ciemnego koloru, na które kładzie się „Kimono” ze skrzyżowanymi poły, pozostawiając szyję odkrytą en coeur; na wierzchu tej sukni wkłada się jeszcze dwie takiegoż kroju, a elegancja wymaga, aby wszystkie trzy jedna z pod drugiej koniecznie wychodziły. Piękne „kimono” (suknia) Japonek objęte są walkiem jedwabnym, wypchanym watą, który poszerza figurę, nadając sylwetkom kobiet kształt dzwonu albo ulatujących w górę dymów. Szlak ten za każdym krokiem się rozwija, układa wężykowato albo w zygzagi: symbol fantazji japońskiej, zawsze falistej i zawsze równo płynącej. Tą samą fantazję, ale z odcieniem dziwacznej malowniczości, odnajdujemy w węzle obi, który zwiesza się niedbale na plecach, niby wielkiej wagi i olbrzymich rozmiarów brzoskwinia.

Suknia, noszona latem, jest z lekkiego materiału, zimą zaś z grubej materji jedwabnej. Ludność uboga nosi poprostu grube płótno. Robotnicy i włościanie sami sobie szyją swoje kimono i farbują je następnie na kolor błękitny, najbardziej lubiany w Japonii. Zimą wszyscy ci, co pracują na powietrzu, noszą ponadto dość wąskie szarawary i pończochy. Te części ubrania nakładają niekiedy i latem, ale tylko dla ochrony przed pijawkami w rzekach i przed owadami w lasach.

Następnie wymienić należy odzież nocną, która zastępuje Japończykom zarówno koszulę nocną, jak i prze-

ścieradła i kołdry, używane w Europie. Odzież ta, zwana „nemaki”, składa się z kaftana o szerokich rękawach, w zimę dobrze watowanego.

Powiew wiatru czasami podnie się poły z czarnego jedwabiu „haori” idącej przez ulicę Tokio Japonce, wówczas zdziwić się można widokiem jaskrawej podszewki, białej w złote pasy, szkarłatnej, lila lub różowej z bardzo kosztownego jedwabiu. Zauważyć przytem należy, że całe to ubranie odznacza się nieskazitelną czystością; czystość ciała i odzieży jest cechą całego narodu bez różnicy stanu i pochodzenia. Ponadto Japonki noszą jedwabne „hakamy” w pasy, których mogłyby pozazdrościć nasze kobiety; są to właściwie bardzo obszerne szarawarki. Wspomnieć chyba wypada, że gatunek jedwabiu, z którego wyrabiają „hakamę” i „haori” oraz ich krój są wyrazem gustu japońskiego w stylu najczystszy: szerokie, ciemne, skromne, nie robią wrażenia kosztownych; przyćmione ich bogactwo pozwala ludziom średnio zamożnym nie różnić się strojem przynajmniej na pozór od obywateli zamożniejszych. Te specjalne części stroju naszych sióstr japońskich nacechowane są jakimś odrębnym wdziękiem i miękkością, przechowujących dotąd jeszcze w swych fałdach brzęk odrzuconych szabel.

Po za strojem, używanym obecnie przez Japonki, kobiety z domów zamożnych i przywiązujących dużą wagę do tradycji narodowych, używają strojów z czasów panowania cesarza Toby (1108 — 1123), noszonych wówczas przez księżniczki i geishe. Do ciekawych nazw licznych części ówczesnych strojów należą: goi, podszycie mniej sutą uwagi, potem hitoe, długa suknia, karaginu, rodzaj tuniki, Mo, forma fartuszek, shifagi nokosode, długa biała koszula, hi-no-hakama i uchi-hakama — szarawarki, z których jedne białe, a drugie czerwone, wreszcie kakeobi — szeroki pas jedwabny, którego końce wiszą z przodu.

Moda ta trwała bez żadnej prawie zmiany do początku czternastego stulecia. Wzbogacona została dopiero w sto lat później utchikaką, suknią wierzchnią, przeładowaną haftami, w których złoto miesza się z jedwabiem, wyobrażając najrozmaitsze rzeczy: strumyk, wijący się między kwiatami, straszego smoka w płomieniach i t. d. Wspaniałe ten strój uzupełniały ogromne i drogocenne

szpilki we włosach. Cały skomplikowany stos szpilek zastępuje skromną fryzurę tych kobiet, które przedtem spuszczały na ramiona swoje niesplecione włosy, podtrzymując je jednym tylko grzebieniem. Dziś zniknął ten zbytek. Przeciwnie, najgłośniejsze geishe noszą znów zupełnie skromną fryzurę. Pomimo to jednak tak wówczas, jak również i dziś, Japonki istotnie torturują się iedynie tylko w celu niezepsucia fryzury, śpiąc na makura, zastępującej naszą poduszkę. Jest to walek, mający kształt żelazka do prasowania, w górnej części wysłany bawełną lub też pokryty całym zeszytem papieru. Co wieczór zdiera Japonka jedną kartę z tego zeszytu, na którym daleko częściej opiera kark, niż głowę, aby nie potargać pracowicie i z wielkim trudem wykończonego czesania. Ciekawem jest również, że z czterech stron makura mieszczą się szufladki, do których Japonki chowają swe sakiewki, klucze, niekiedy listy, świętości i t. p. Europejczycy zawsze namęczą się okropnie podczas utrzymywania w równowadze głowy na tym pniaku, który na domiar złego ma taki kształt, że koło szyji pozostaje wolne miejsce do przewiewu powietrza, bez czego każdy chętnieby się obył.

Warto przy tej sposobności stwierdzić, że kobieta japońska, do jakiejbykolwiek zaliczała się sfery, nie stroi się nigdy w klejnoty, przylegające bezpośrednio do ciała — żadnych kolij, żadnych bransolet, kolczyków i t. p. Pierścionki, które dziś noszą, są naleciałością zachodu. Jest to swoją drogą zagadka, której dotychczas nie rozwiązano, a przecież wartoby ją zbadać, stanowi bowiem ona jedyną z pewnością w swoim rodzaju osobliwość w historii cywilizacji.

Poza strojami japońskimi Japonka obecna ubiera się również i po europejsku, stosując się nawet do najdalej idących wymogów mody europejskiej, jednak pomimo wielkiego naśladownictwa zwyczajów europejskich oraz wprowadzenia mody zachodniej przez cesarżową, kobiety japońskie, należące nawet do klas wyższych, niechętnie zmieniają kostjumy narodowe. Kobiety japońskie klas niższych, pomimo przykładu cesarżowej, uparcie jeszcze trzymają się tradycji, przeważnie jednak dlatego, że krój strojów japońskich nie podlega żadnym zmianom. Gdyby Japonka pragnęła naśladować swe siostry Europejki lub Amerykanki i zaczęła się stosować do wszystkich kaprysów mody, stanowiących rozpacz mężów i uciechę krawcowych i szwaczek na Zachodzie, skromny budżet japoński nie wystarczyłby jej z pewnością!



*) Tytuł i nazwisko autora.

JOSEPH CONRAD.

(Zuchwała próba walki z „laurem zagrobowym“ i polemiki z samym Żeromskim).

Fakt porzucenia przez Conrada pierwszej ojczyzny nurtuje żywo polskie umysły.

Umieszczamy poniżej art. p. Zofji Zawiszanki, jako głos dobitnie ujmujący tą sprawę.

(Przyp. Red.).

„Godności nie mam...
przed męką uciekłem“...

J. Słowacki.

Uderzał mnie zawsze bardzo dziwnie ton polskich „krytyk“, a raczej zachwyty nad znakomitym autorem angielskim, J. Conradem. Podnosząc literackie jego zasługi dla obcego (tak bardzo obcego!) narodu, nie omija nikt wstydliwie faktu, że Conrad był niegdyś Korzeniowskim, synem czcigodnej rodziny powstańczej, że wyjechał z kraju, mając już lat 17, a mimo to potrafił wynarodowić się kompletnie pod każdym względem. Przeciwnie — ten fakt bezprzykładny podawany jest naszej czytającej publiczności z rodzajem naiwnego zachwyty, jakby z utajoną myślą: „ach, jakież był wielki, skoro w naszym zaścianku nie mógł wytrzymać“!

Teraz, po śmierci Conrada, ten ten spotęgował się jeszcze — chlubią się ludzie jego pochodzeniem, rozrzewniają, jak to „On“ raczył się interesować literaturą polską, przekładami swoich książek.. Oto dumam właśnie nad pięknym artykułem Żeromskiego w „Wiadomościach Literackich“ — dumam, nie mogąc zrozumieć... i na usta ciśnie się zapytanie? czy On, wielki twórca Polski, Żeromski, nie tęsknił nigdy za obcymi morzami — On, który nam tak nieśmiertelnie opowiedział rozmowę dzikich Pirenejów z Oceanem? A jednak — czyby Go zdołało cokolwiek na świecie zmusić do oderwania się od dna polskiej nędzy, do darowywania obcym klejnotów Swojej mowy, do przekazania dzieciom swym cudzego języka i [nazwiska, przerobionego na cudze?

A wszak to Stefan Żeromski napisał: „miałem zaszczyt poznać J. K. Korzeniowskiego i pozyskać jego przychylność“? W moich oczach Conrad, jako człowiek, nie był wart zawiązać rzemyka u stóp Stefana Żeromskiego.

Strasliwa to tragedia, gdy dzieci naszych zesłańców tonęły powoli w morzu obczyzny, otoczone niem od urodzenia, osierocone nieraz od kolebki — a potem potomek powstańca szedł, jako Moskal, uśmierzać

bunt w Polsce... Ale Conrad uciekł z Krakowa, mając lat 17, uciekł dobrowolnie i z pełną świadomością przed „kołem boleści, strasliwym nad miarę strzymania“ — a przecie tak naturalnym i drogiem dla innych Polaków. Kto nie miał siły zdzierżyć, ten stawał się odstępcą i, jako taki, był piętnowany bez litości — bo tego wymagał surowy instynkt samozachowawczy umęczonej duszy narodu.

I czemuż — pytam — dla jednego Conrada znalazła się inna miara osądu? Dlaczego jemu jednemu wolno było zmieniać ojczyznę wedle upodobania? Czyż talent istotnie mocen jest rozgrzeszyć wszystko na świecie?!

Są rzeczy, które pozostają równie brzydkimi, czy je popełni najzwyczajniejszy człowiek, czy też wielki twórca. Dezercja jest zawsze dezercją — czy u szeregowca, czy u generała. Ale na generale ciąży inna zupełnie odpowiedzialność i to zwiększa jeszcze jego przewinę.

Nie dziwno mi, że się wyrwał z dusznej atmosfery niewoli ku dalekim morzom młodzieniec, spragniony szerokiego oddechu życia — gdyż w duszy jego już drzemał epos oceanów. Lecz czemuż tego eposu po polsku nie wyśpiewał?!

Pomyślmy tylko, ile zdrowego, wolnego „wiatru od morza“ byłyby przyniosły jego dzieła marniejącemu w niewoli duchowi narodu — jakieby otworzyły okno na szeroki świat — jakim dzisiaj byłyby skarbem bezcennym dla naszych marynarzy, z trudem nawiązujących do ubożuchnej tradycji przedrobiorowej!

Zapewne, trudniej byłoby zrazu o nakładców, a później o światową sławę..

Niech ją więc ma! — lecz skądże ten ciepły ton zachwyty w Polsce, którą w najcięższych czasach porzucił, nie oglądając się nawet? Czyż nie dość mamy mistrzów słowa, wierznych Jej do grobu i poza grób?

Bez słowa komentarza pisze Żeromski: „W szkicu p. t. „First Neros“, pisanym w 1918 r., Joseph Conrad opowiada swym czytelnikom, iż bibliotekarz biblioteki Jagiellońskiej powiedział mu za bytności w Krakowie w r. 1914, że biblioteka posiada spory zwitek listów Apollona Korzeniowskiego, w których jest wciąż mowa o nim, jako o małym Konradku. Były to listy, pisane między 1860—1863... Joseph Conrad wybrał się do Biblioteki w towarzystwie swego starszego syna, o którym mówi: „The attention of that young Englishman was mainly attracted by some relics of Copernicus in a glass case“. O sobie zaś mówi: I saw the bundle of letters“... Tak to, trzymając w ręku zwitek listów ojcowskich... syna swojego mianował Anglikiem...

Scena ta robi na mnie wrażenie potworne. Cóż za straszny symbol programowego wynarodowienia!

Coby na to powiedział Apollon Korzeniowski, gdyby mógł widzieć z za grobu? Jakżeby spojrzała matka — ta, co pisała dn. 20-VI 1861 r.: „Żałoba tak ogólna, że ledwie czasem widzi się kolorowe suknie. Konradek dotąd w potrójnych naszych ulubionych kolorach — ale ma żalobną sukienkę i inaczej go do kościoła nie poprowadzę!.. Konradek śpi, bo to noc — śliczny wyrasta chłopak“.

Z. Zawiszanka.



UPOŚLEDZENIE KOBIEC-LKARZY.

Narodowe Stronnictwo Kobiet w Ameryce (National Women's Party) wystąpiło z inicjatywą tworzenia t. zw. Rad Lekarskich (Physician's Connsils), których zadaniem ma być „zwalczanie przesądów i uprzedzeń, uważających medycynę za pole pracy, dostępne jedynie mężczyznom, dzięki czemu kobiety-lekarki spotykają się w swej pracy zawodowej z całym szeregiem utrudnień i ograniczeń“.

Artykuł, zamieszczony w jednym z numerów „Equal Rights“, oficjalnego organu Narodowego Stronnictwa Kobiet, a podpisany przez Dr. Mary O'Malley, dyrektorki kliniki szpitala św. Elżbiety w Waszyngtonie, wyszczególnia niektóre z tych utrudnień i ograniczeń, upokarzających i przykrych dla kobiet — lekarzy, praktykujących w Ameryce:

„W bardzo wielu uniwersytetach i szkołach medycznych kobieta-lekarka nie jest przyjmowaną do grona profesorów, że wymienię chociażby uniwersytet w Harvard, którego fakultet medyczny nie posiada ani jednej kobiety. Jeśli chodzi o zdobycie stanowiska lekarza w szpitalu miejskim np., to i tu kobiety spotykają na każdym kroku utrudnienia. Statystyka, opublikowana przez Stowarzyszenie Medyczne w r. 1921, wykazuje, że z 482 wielkich szpitali samorządowych miejskich tylko 40 mają wśród swych ordynatorów kobiety. To samo da się powiedzieć i o stanowiskach państwowych, które również dla kobiet są prawie niedostępne, a nawet w razie osiągnięcia — znacznie niżej płatne, niż równorzędne stanowisko, zajmowane przez mężczyzn.“

Wszyscy wiedzą, jak doskonale pracowały lekarki nasze podczas wojny i jak wielkie oddawały usługi, a jednakże nie otrzymywały ani tych odznaczeń, ani takiej gaży, jak ich koleżki z wojska i marynarki.

Uogólniając to, co powiedziano wyżej, możemy śmiało stwierdzić, że kobieta w Ameryce podlega takim samym ograniczeniom na polu pracy medycznej, jak i w każdym innym zawodzie: sądownictwie, przemyśle, pracy naukowej i t. d. A przecież mamy tak wybitne siły lekarskie wśród kobiet — i to w każdej gałęzi medycyny!

Dr. O'Malley zajmuje się następnie kwestją psychiatrii, jako wiedzy, nadającej się — jej zdaniem — specjalnie dla kobiet-lekarzy. Podkreśla, że lekarki amerykańskie, pracujące na tem polu, potrafiły sobie zdobyć naogół już uznanie swych kolegów, wobec czego wiele szpitali dla umysłowo chorych powierza już dziś kierownictwo oddziałów kobiecych lekarkom.

ZNIESIENIE WIEKOWEJ TRADYCJI.

Władze municypalne Paryża zniosły istniejący od wieków urząd „zamiataczek ulic“, powierzając nadal pełnienie tej funkcji mężczyznom. Wywołało to wielki protest wśród poszkodowanych — władza jednakże pozostała głuchą na te skargi, motywując swój wyrok tem, że zamiętanie ulic jest pracą zbyt ciężką dla kobiet. Jedno z pism kobiecych, podnosząc ten argument, rzuca pytanie: „Dlaczego troskliwość o zdrowie kobiet i dbałość o nieprzeciążanie ich pracą występuje tylko wtedy, gdy mężczyzna sam ma ochotę ująć tę pracę i zyski z niej płynące w swoje ręce? Słyszemy wciąż, że ta czy owa praca (oczywiście dobrze płatna) nie nadaje się dla kobiet — kiedyż wreszcie doczekamy się chwili, w której bezpłatna i najuciężliwsza praca w domu, przy kuchni, praniu, wychowaniu dzieci — zostanie ogłoszoną za „zbyt ciężką dla kobiet?“

KOBIETA I PAPIEROS.

Znana autorka włoska, Matylda Serao, zastanawia się w jednym ze swych artykułów nad kwestją: „Czy kobieta może i powinna palić?“ Piętnaście lub dwadzieścia lat temu pytanie tego rodzaju nie zdziwiłoby nikogo; dzisiaj wydaje się niezrozumiałem. Dziś palą prawie wszystkie panie bez wyjątku, ba! nietylko panie nawet niedorośle panienki. Że to czynią, o tem wiemy, ale czy dobrze czynią? Jedni mówią tak, drudzy — nie, a prawiada, jak zwykle, leży pośrodku.

Mojem zdaniem, mogą palić i panie, i nawet panienki, ale nie stale, nie jako przyzwyczajenie i konieczność. Są momenty, w których papieros staje się w rękach kobiety stosownym, pasuje powiedziałabym — do otoczenia: na wsi, podczas wesołej wycieczki, w podróży — w towarzystwie mężczyzn palących, podczas pikniku — na przykład — wszędzie tam, gdzie przyjęcie z czyichś rąk i zapalenie papierosa jest tylko aktem pewnej kurtuazji, pewnej chęci dostosowania się do reszty to-

warzystwa, do ogólnie panującego nastroju wesołości i rozbawienia.

Tak więc — wypalić można od czasu do czasu jednego papierosa, niechże Bóg broni jednak, aby ich miało pójść z dymem kilkanaście, (a nieraz, o zgrozo! kilkadziesiąt) dziennie! Papierosy względnie tak nie psują zębów, jak dym tytoniowy. A czyż może być większa ozdoba dla kobiety, jak ładne i zdrowe zęby! Oddech kobiety nie może być zmieszany z zapachem tytoniu — odbiera bezwzględnie cechę kobiecości, zabija cały wdzięk niewieści. Zapewne, że kobieta paląca może wyglądać ładnie z papierosem w rękę — ale tylko wtedy, jeśli umie palić. A na to trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę ze swego typu — z rodzaju swej urody — i wtedy dopiero zdecydować się, czy można sobie pozwolić na palenie, czy też nie. Błędem bowiem najwyższym jest mniemanie, że papieros pasuje do każdego typu urody kobiecej. Niewiasta np. o rysach klasycznych, o kształtach i wzroście imponującym — typ Junony — z papierosem w ustach wygląda nietylko niestosownie, ale poprostu komicznie. Natomiast osóbka drobna, żywa, o twarzyczce raczej wdzięcznej i wyrazistej, niż pięknej — może z powodzeniem palić: nie popsuje to jej „linji“, polegającej właśnie na pewnej oryginalności. Dama sentymentalna, o wyrazie twarzy melancholijnym, o usposobieniu — *lâchons le mot* — płaczkliwym, powinna strzedz się papierosa, — wszystkie zaś panie wesołe, biorące życie z lekkiej strony, powierzchownie — mogą go włożyć do innych swych rozrywek i przyjemności. Papieros, naogół biorąc, jest środkiem uspakajającym dla nerwów — mężowie, którzy nie mają zbyt czystego sumienia, nie powinni zatem zabraniać swym żonom palić: dym tytoniowy może im zaoszczędzić niejednej sceny małżeńskiej!

Nie zapominajmy jednak, że nikotyna jest także środkiem znieczulającym, odurzającym — że odbiera ona umysłowi kobiecemu żywość, bystrość i lekkość, które powinny być jego przymiotami charakterystycznymi. Z tego więc powodu, jak i z wielu innych, radzę tym paniom, które już palić zaczęły — aby paliły, jak można najmniej. Młodym panienkom zaś i tym paniom, które jeszcze nie zaczęły palić (o ile są takie!) radzę bezwzględnie nie zaczynać! Ale jestem zgóry pewną, że nikt mej rady nie usłucha...

Z. B.

ŚWIATŁA I CIENIE

(Uroczystość w Bergamo. Głosy prasy włoskiej. Ministerstwo Spraw Zagranicznych sądzi, że nie można reprezentacji prasy polskiej powierzyć kobiecie. Czy wina Rumunii? Nie zrażajmy się temi drobnymi przeszkodami.)

Znana dobrze czytelniczkom „Bluszczu“ p. Karolina Bielańska przy końcu czerwca roku bieżącego przyjmowana była uroczystość przez mieszkańców miasta Bergamo. Piękne to miasto włoskie związane jest z Polską namiętną najtrwalszej tradycji, bo więzią krwawą; Bergameńczykom pamiętna jest zawsze ofiara życia i swobody, jaką kilkunastu ich synów złożyło dobrowolnie na ołtarzu niepodległości Polski, w r. 1863.

Pani K. Bielańska, która dramatyczny ten epizod, wydobyla z popiołów przeszłości, poświęciła mabyła dłuższe studjum p. t. „Nullo i jego towarzysze,“ — obecnie w podróży swej po Włoszech przybyła do Bergamo, by miastu temu ofiarować swoją książkę.

Miejscowy dziennik „Il Popolo“ opisuje uroczystość tę, która odbyła się 30 czerwca na ratuszu miejscowym, w sali posiedzeń Rady.

Jak pisze „Il Popolo“, zebrały się dnia tego na Ratuszu najwybitniejsze osobistości miasta, przedstawiciele stowarzyszeń patriotycznych i artystycznych. Sala, schody i estrada, z której przemawiała p. Bielańska, tonęły całe w kwiatkach. Przemówienie ofiarodawczyni przyjęto gorącymi oklaskami. Dziennik zaznacza, że ofiarowane dzieło poprzedził przedmową Stefan Żeromski, „polski d'Anunzio,“ a okładkę przyozdobił zmarły przed niedawnym czasem znakomity artysta Jan Rembowski.

Oprócz dzieła ofiarowanego miastu Bergamo kopje cennych dokumentów, odnoszących się do procesu, który rząd rosyjski wytoczył był bohaterom włoskim, walczącym za wolność Polski. Zgromadzenie tych dokumentów i skopjowanie ich zawdzięcza Bergamo — jak pisze włoska gazeta, uprzejmości kapitana Kaleńskiego.

Drugi dziennik miejscowy „Il Saglierdo“ podaje w całości przemówienie p. Bielańskiej.

Sądzimy, że nawiązując nic dawnej tradycji polsko-włoskiego bohaterstwa, prowokując niejako darem swoim opisane powyżej uroczystości, wypełniając imionami Polski przez kilka dni szpalty wszystkich dzienników miejscowych, p. Bielańska nie oddała złej usługi swojemu krajowi, że przeciwnie, udało jej się wypełnić jedną z tych nieskończonych luk, jakie pozostawia za sobą stale nasza propaganda zagraniczna; sądzilibyśmy nawet, że takie wstąpienia powinny zwrócić uwagę zainteresowanych sfer na talenty kobiet polskich w dziedzinie propandandy i skłonić je do wyzyskania tych zdolności na korzyść Państwa.

Nie wszyscy jednak są tego zdania. Ponieważ kobiety polskie okazują wybitne zdolności w tej ważnej dla Państwa dziedzinie, ponieważ żadna z nich jeszcze nie przyniosła wstydu imieniu Polski, ergo — nie można im wydawać pasportów zagranicznych, nie można dopuszczać, by w jakimkolwiek poważnym, choćby półoficjalnym charakterze reprezentowały Polskę.

Że taki mniej więcej panuje tam tok rozumowania, świadczy dosyć głośna już w Warszawie sprawa odmówienia pasportu do Turcji i Rumunii p. J. Krawczyńskiej, stałej współpracownicze „Ekspresu Porannego“ i „Kurjera“ czerwonego, a której artykuły pojawiają się także od czasu do czasu na szpaltach „Bluszczu.“

Sprawa przedstawia się, jak następuje:

Na wystawę polsko-turecką w Konstantynopolu udaje się wycieczka dziennikarska, organizowana przez syndykat dziennikarzy w porozumieniu z Ministerstwem Spr. Zagr. Wycieczka ma zabawić także czas jakiś w Rumunii. Pobyt jej tamże mieć będzie charakter rewizyty za odwiedziny dziennikarzy rumuńskich w Warszawie.

Wydawnictwo „Ekspress Poranny“ i „Kurjer Czerwony“ oraz siedem wydawnictw prowincjonalnych zgłosiły, jako swoją przedstawi-



cielkę p. J. Krawczyńską, członkinię redakcji tych pism. Po zgłoszeniu tej kandydatury pan Karszo Siedlecki, szef wydziału małej ententy w Min. Spr. Zagr., zawiadomił telefonicznie redaktora naczelnego „Kurjera”, że udział kobiety w delegacji jest niemożliwy.

Odmowę udzielenia pasportu p. Krawczyńskiej uzasadnił p. szef wydziału między innymi także i tem, że „pan poseł rumuński uważa za niewskazany udział kobiety w wycieczce dziennikarzy.”

Wszystko to brzmi zaprawdę nieco przedhistorycznie.

Z uznaniem podkreślić należy zdecydowaną i nieustępną postawę redakcji „Kurjera” i „Ekspresu” w tej sprawie. Redakcja ta mianowicie oświadczyła w odpowiedzi panu Karszo Siedleckiemu, że wobec niezatwierdzenia przedstawionej przez nią kandydatury, udziału w wycieczce wogóle nie weźmie i na stanowisku tem wytrwała mimo gorących telefonicznych perswazji. Sam p. naczelnik wydziału prasy i propagandy, p. Bator, nawiązawszy telefoniczną rozmowę z zainteresowaną dziennikarką, prosił ją, by „nie była zawzięta”, wyjaśnił, że „po Wschodzie kobieta podróżować nie może przy panujących tam dziś obyczajach” i t. p., żartował, mówił o trudnościach „technicznych”, o tem, że na Wschodzie „niema hoteli tak urządzonych, by kobieta nocować w nich mogła” i t. d.

Wszystko to nie oddziało ani na panią J. Krawczyńską, ani na Redakcję, która udziału swego stanowczo odmówiła.

Fakt ten ilustruje wymownie ten stan rzeczy, przy którym istnieje przepaść między konstytucyjnym równouprawnieniem na papierze, a praktyką życia, wciąż jeszcze przeponą cechami zamierzchłej przeszłości.

Interesujący jest domniemany w tym względzie wpływ poselstwa rumuńskiego na sprawę. „Kurjer” czerwony wyraża powątpiewanie, by Państwo, którego przedstawicielem w Lidze Narodów jest kobieta (p. Helena Vacaescu) miało okazywać względem kobiet polskich tak potężną dozę uprzedzenia. Jednakże wieści postronne głoszą, że istotnie jakoby tam było źródło tych anachronizmów.

Tak, czy inaczej, sprawa ta nie powinna w świecie kobiecym wywoływać uczucia depresji. Przeciwnie, nieporozumienia tego rodzaju, oddane pod sąd i krytykę myślącego ogółu, posuwają zwykle naprzód realizację zakwestjonowanych postulatów. A postulatem nowym na chwilę obecną być powinno nie tylko papierowe, ale i faktyczne równouprawnienie, zwłaszcza we wszystkich dziedzinach twórczości kulturalnej.

C-r.

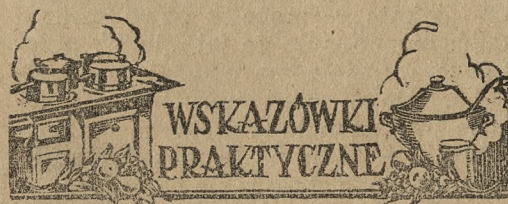
gdzie co druga szyba sklepowa roi się od flakonów, i pudełek kryjących w swych wnętrzach uroczyste perfumy francuskie i gdzie afisze wszystkich niemal teatrów wykrzykują wielkimi literami tytuły sztuk, fabrykowanych w Paryżu. Całe nieszczęście tylko na tem polega, że o ile do perfum i jedwabi francuskich można się „przywiązać” — można je polubić i zawsze mile je witać, o tyle z temi fabrykami komedjowymi i farsowymi jest trochę gorzej. Już ich mamy za dużo. Już dosyć, naprawdę dosyć. Nie uratuje z niej i pozabawionej dowcipu farsy paryskiej ani poetyczny tytuł, ani nazwanie jej „Komedją”, ani piski kucharki-murzynki, — ani nawet zabawna rola starszego kontrolera firmy z konfekcją męską — pana Birbat.

To, że młody Reymont le Hochet ożenił się z panną sklepową w tajemnicy przed ojcem, przed którym mimo swych 35 lat dygoce ze strachu w ciągu całych trzech aktów — to jeszcze zbyt słaby temat do farsy, tembardziej, że tym razem francuska spółka autorska okazała się całkowicie pozbawiona właściwego swego rasie — esprit.

Nic dziwnego, że p. Biegański w roli wystraszonego syna czuł się źle i zgasł całkowicie i tylko jeden pan Orwid dał doskonałą postać pana Birbat. Pan Justjan w roli „straszego” ojca miał sporo dobrych momentów i świetną maskę, która, niestety, nie zawsze mu dopisywała.

Pani Gromnickiej brakło humoru, wery, natomiast zbyt często towarzyszył jej słowom nerwowy śmiech — który dopiero z wielkim trudem opuścił ją w trzecim akcie.

p-a.



WSKAZÓWKI PRAKTYCZNE

KONFITURY.

(ciąg dalszy)

Jabluszka rajske i syberyjskie. Oba te gatunki drobnych jabłuszek, pierwsze większe i ładnie zacerwienione, drugie drobniejsze, woskowo-żółte smaży się w jednakowy sposób. Należy wybrać owoc równy i nierobaczywy, nakłuć głęboko drewnianą szpilką lub srebrnym widelcem, wrzucić w wodę, aby nie szerniał. Na funt jabłuszek bierze się półtora funta cukru. Z połowy cukru i szklanki wody na każdy jego funt gotuje ulep, przestudzonym zalewa jabłuszką. Po 24 godzinach ulep się zlewa, dodaje połowę pozostałego cukru, przegotowuje i letnim ponownie zalewa jabłuszką. Dnia następnego ulep znów się zlewa, dodaje resztę cukru, kawałek wanilii, wysmaża ulep, wkłada weń jabłka i gotuje na bardzo wolnym ogniu, co dziesięć minut odstawiając od ognia na minut dziesięć, aby owoc miał czas napęcznić i przejąć się syropem. Gdy jabłuszka staną się tak przezrocyste, że pestki przez nie widać, dodaje się na każde kilo konfitury pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, konfiturę odstawia, zastudza i składa do słoików.

Jabłka słodkie. Smażyć na konfiturę można tylko jabłka słodkich gatunków, wszelkie jabłka kwaskowe w smażeniu rozgotowują się na marmeladę. Jabłka więc słodkie obrać delikatnie ze skórki i, albo pokrajać w krążki, odrzucając środki z pestkami, lub też łyżeczką od kartofli wydrążyć ładne kulki. Z funta cukru na funt jabłek i pół szklanki wody na

funt cukru usmażyć gęsty ulep, wycisnąć sok z cytryny lub włożyć łyżeczkę soli cytrynowej (kwasku), wrzucić jabłka i smażyć, aż się staną przezrocyste. Dla zapachu włożyć kawałek wanilii lub wlać parę kropel olejku cytrynowego. Benzoes jest niezbędny, gdyż jabłka łatwo fermentują. Dalej postępować, jak z rajsłkimi jabłuszkami.

Głóg. Każdy głóg duży nadaje się na konfiturę, najładniejszy jednak jest owoc róży mandzurskiej, równy, gładki, ponsowy, rozmiaru sporego jabłuszka. Przy drelowaniu głogu, po usunięciu pestek stałą lub szpilką podwójną, należy wnętrze owocu oczyścić z wysiękających je włosków, co się wykonywa, nawijając miękki gałganek na patyczek i dokładnie wycierając wewnętrzne ścianki głogu. Na funt głogu bierze się półtora do dwóch funtów cukru. Z połowy cukru i szklanki wody robi się rzadki syrop, przestudzonym zalewa głóg, nazajutrz syrop się zlewa, w razie gdyby w nim się ukazały włoski z głogu, cedzi przez muslin lub gęste sito, dodaje połowę pozostałego cukru, zakrasza syrop cytryną lub kwaskiem, zalewa ponownie głóg. Dnia następnego powtarza się przesmażanie syropu z dodawaniem cukru, poczem głóg się wrzuca w syrop i smaży na wolnym bardzo ogniu, odstawiając co kilka minut od ognia. Gdy owoce się wypełnią, a syrop zgęstnieje, dodaje się zwykłą proporcję benzoesu i konfiturę zastudza. Konfitura ta ma wspaniały, ponsowy kolor i jest bardzo smaczna. W miastach Polski jest mało znana. Panie ze wsi powinny w każdym ogródku posadzić kilka lub kilkanaście krzaków mandzurskiej róży, która poza pożytecznym owocem, jest bardzo ozdobnym krzakiem, o jaszkrawo-zielonych, jakby lakierowanych, liściach i dużych, ładnie pachnących, często półpełnych kwiatach, kwitnących lato całe do późnej jesieni tak, że na jednym i tym samym krzaku dojrzają owoc obok rozwijającego się dopiero pączka oglądać można.

Melon. Na konfitury należy brać melon napół dojrzały tylko. Obrać go delikatnie ze skórki, zieloną część miąższu melonowego nie tylko ładnie w połączeniu z oranżowym lub żółtym środkiem wygląda, lecz, jako twardsza, wstrzymuje kawałki od rozgotowania się na marmeladkę przy smażeniu. Od środka natomiast, gdzie się mieszczą ziarna, należy kawałki jaknajsumienniejszy oczyścić. Melon pokrajać na ładne kawałki karbowanym nożem lub powycinać w kulki łyżeczką od kartofli, kawałki pozostałe przy tem nie zmrznąją się, gdyż, osypane cukrem, mogą być użyte jako sałatka na deser. Dalej z melonem postępuje się, jak z jabłkami słodkimi, wanilii tylko kłaść doń nie trzeba, gdyż melon ma silny, swoisty aromat. Pamiętać tylko należy, że melon się łatwo rozgotowuje i smażyć na bardzo wolnym ogniu, z przerwami, jak wszystkie większe, delikatne owoce.

Arbuz. Na konfiturę się używa nie całego arbuza, tylko białej warstwy, znajdującej się pomiędzy czerwonym mięsem, a zieloną skórką arbuza. Postępuje się z nim zupełnie, jak z melonem, krajać w kawałki karbowanym nożem i zachowując wszelkie ostrożności, aby się te kawałki nie rozgotowały. Konfitura ta nie ma żadnych specjalnych zalet oprócz czysto-białego koloru, przy ubieraniu więc ciast jest cenna.



Z TEATRÓW

TEATR MAŁY

Kwiat Pomarańczowy. komedia w 3-ach aktach Andrzeja Birabcau, Jerzego Dolley, — przekład Edw. Woronieckiego, reżyserował Rysz. Ordyński, dekoracje Karola Frycza.

O tem, że we Francji fabrykują wino, jedwabie, koronki, perfumy, komedje i farsy i t. d. wiemy wszyscy, — o tem, że zawiązują się różne spółki i towarzystwa w celu wznowienia wyżej wymienionej produkcji, obliczonej na eksport — również nie trzeba przypominać i to zwłaszcza tu u nas, w Warszawie —

Śliwki. Wszelkie śliwki smaży się na wpół dojrzałe, przyczem przed smażeniem zdejmuję się z nich skórkę. W tym celu w naczynie z bardzo gorącą, prawie wrzącą wodą, wrzuca po kilka śliwek i natychmiast nożykiem ściaga z nich skórkę, która bardzo łatwo zwykle schodzi. Następnie śliwki zalewa syropem, jak renklody, powtarzając to trzykrotnie; ostrożności przy smażeniu zachowuje wszystkie te same, co przy innych łatwo się rozgotowujących owocach. Smażąc drobne śliwki: lubaszki, żółte i różowe mirabelki, skórki się z nich nie zdejmuję, lecz tylko gęsto nakława drewnianą igłą lub srebrnym widelcem.

Pani Elżbieta.

KALAFJORY.

Równie smaczne i delikatne, jak szparagi, mają kalafjory tę zaletę, że sezon ich trwa około czterech miesięcy i że łatwiejsza ich kultura czyni je dostępnymi szerszym warstwom społecznym. W końcu lata i jesienią zjawiają się w olbrzymich ilościach na targach, są wtedy przeważnie bardzo tanie i mogłyby odgrywać poważną rolę w odżywianiu się mniej zamożnej inteligencji, (klasa robotnicza jarzyny z pogardą traktuje, odżywiając się prawie wyłącznie mięsem, tłuszczami i produktami mącznymi); gdyby nie rozpowszechniony przesąd, że kalafjory się jada wyłącznie z masłem rumianem i bułeczką, co przy obecnych cenach masła jest zbyt kosztowne. Cały szereg smacznego i taniego użytkowania kalafjorów podam moim czytelnikom.

Zupa kalafjorowa. Można na nią użyć mniej białe i ściśle główki. Nastawić na smak kości i obrzynki jakiegobądź mięsa: wołowy, cielęciny, baraniny lub wieprzowiny, dróbki od kur lub kurcząt z włoszczyzną, jak na zwykły rosół. W dniu postu gotuje się smak z samej włoszczyzny. Kalafjory się dzieli w taki sposób, że same kwiatki się ścina i pozostawia, głąbie zaś i łodygi gotuje wraz z inną włoszczyzną. Gdy jarzyny zupełnie zmiękną, przefasowuje się z kalafjorowymi głąbiami i łodygami przez sito lub durszlak, wkłada napowrót w precedzony rosół, wrzuca kwiatki kalafjorowe, wlewa na dwa litry zupy pół litra dobrego mleka lub kwaterek słodkiej śmietanki, gotuje, aż kwiatki zmiękną. Zupełnie się zaprawia sporą łyżką mąki, aby była zawieszista. W wazie się rozbija dwa żółtka z łyżką dobrego masła, na to się wylewa zupełnie i podaje. Do zupy tej odpowiednio są wszelkiego rodzaju drobne i du-

że grzanki, przysmażane na maśle, osypane ostrym serem i t. p.

Kalafjory pod bechamelem. Odgotowane w wodzie z solą i łyżeczką cukru, kalafjory ułożone na metalowym półmisku w taki sposób, aby formowały jedną dużą główkę. Rozpuścić dużą łyżkę masła, rozbić dwie łyżki mąki w pół szklance wody, wlać w masło, zagotować, rozprowadzając 2—3 szklankami dobrego mleka, rozbić dobrze, aby klusek nie było. Gdy sos się zagotuje i stanie się zawieszisty, odstawić, przestudzić nieco, wbić weń 1—2 jaja całe, oblać tym sosem równo kalafjory, osypać grubo serem, tartym z bułeczką, i wstawić na kwadrans pod blachę dla zrumienienia.

Kalafjory pod różnymi sosami. Kalafjory odgotowane, ułożone na półmisku, zalewa się oddzielnie ugotowanym sosem; najwykwintniejszy i najodpowiedniejszy do nich jest sos holenderski: dwa żółtka, łyżka najlepszej mąki, pięćdziesiąt gramów dobrego masła, dwie łyżki dobrego octu, łyżka cukru, szczypta soli i tyle rosółu mięsnego lub rybnego, aby sos był zawieszisty, postawić na ogniu i ubijać trzepaczką, aż się podniesie. Zagotować się nie powinien, gdyż jaja się warzą. Poza to każdy sos biały śmietanowy, mleczny, koperkowy do kalafjorów pasuje, z pieczarkowym są też smaczne. Jadłam je też z sosem pomidorowym, ale muszę przyznać, że ta kombinacja wcale mi się nie podobała.

Kalafjory „au beurre noir”. Ścisłe bardzo białe kalafjory ugotowane ułożyć na półmisku, łyżkę masła zrumienić na czarno, wlać łyżkę dobrego octu, zagotować i tem czarnym masłem równomiernie polać kalafjory, poczem osypać je grubo ostrym serem tartym, (najlepiej parmezanem) i natychmiast, bardzo gorące, podawać.

Budyń z kalafjorów. Dwie — trzy głowy kalafjorów ugotować, podzielić na drobne części. Dwie szklanki mleka zagotować z dużą łyżką masła, wysypać w to pół szklanki najlepszej mąki, zagotować, wybić ją, aż odstanie od rondla, rozprowadzić mlekiem lub wodą, w której się gotowały kalafjory, do takiej gęstości, aby można było wymieszać z kalafjorami, wbić w to trzy żółtka, osolić do smaku, dodać nieco gałki muszkatołowej i sztywną pianę, ubita z białek. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać sucharkiem, włożyć masę, zakryć szczelnie, wstawić w rondel z gorącą wodą i gotować od chwili zagotowania godzinę. Formę otworzyć, budyń wyrzucić na półmisek. Oddzielnie podać rumiane masło lub ser śmietanowy.

Kalafjory pod majonezem. Odgotowane kalafjory ułożyć w ładną piramidę na półmisek, ostudzić dokładnie i polać sosem majonezowym. Rozetrzeć dwa żółtka z łyżką musztardy (najlepiej domowej), do tego dolewać wciąż ucierając pół funta najlepszej oliwy, od czasu do czasu dodając po parę kropli dobrego octu lub soku cytrynowego, — bez tej ostrożności sos się waży, — gdy zgęstnieje i zbieleje, dodać łyżeczkę cukru, parę łyżek rosółu lub wody z kalafjorów, oblać tem kalafjory i dać postać tak ze dwie godziny przed podaniem. Można też do tego użyć provençale wojennego z mąką zaparzoną, którego przepis kilkakrotnie w Bluszczu podawałam.

Omlet z kalafjorami. Ugotować ładną białą główkę kalafjora, podzielić ją na części. Trzy żółtka ubić z łyżeczką mąki pszennej i pół szklanką mleka, dodać ubite na sztywną pianę białka. Na niedużej patelni zrumienić łyżeczkę masła, wylać część masy, smażyć, aż się spód dobrze zrumieni, a wierzch zlekka zetnie, położyć łyżkę kalafjorów, ułożyć zręcznie nożem na połowę, położyć na ogrzany półmisek i piec dalsze omlety. Z tej proporcji wychodzi pięć omletów. Do nich oddzielnie można podać sos śmietanowy lub koperkowy.

Kalafjory w occie. Oczyszczone kalafjory podzielić na ładne części, wrzucić na wrzącą, osoloną wodę, zagotować chwilę tylko, aby nie zmiękły, wylać na sito, ostudzić, włożyć w słoje. Zagotować ocet z pieprzem, zielen, listkiem i strączkiem papryki, ostudzonym zalać kalafjory. Po tygodniu ocet zlać, gdyby był słaby, dodać doń esencji, zagotować powtórnie i znowu zimnym zalać kalafjory, — gdyby po tygodniu stracił moc, powtórzyć to gotowanie po raz trzeci. Gdy konserwa gotowa, dodać na każdy kilogram pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w gotowanej wodzie. Takie kalafjory służą za ostrą sałatę i na przekąskę po wódecie.

Na zakończenie przypominam paniom na wsi, że sezon kalafjorów można znacznie przedłużyć późną jesienią: wszystkie niedorozwinięte, nieuszkodzone mrozem kalafjory sadząc wraz z korzeniami w piasek w piwnicy, gdzie rozwiną się i urosną doskonale, będąc znacznie od ogrodowych delikatniejsze. Dorosłe kalafjory dają się przechować czas jakiś rozwieszzone, korzeniami do góry na sznurach na strychu. Należy je codziennie starannie przeglądać i groźące przerośnięciem używać natychmiast.

Pani Elżbieta.

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

POLECAJĄ NA NADCHODZĄCY SEZON:

MERING ANDRZEJ — PODRĘCZNIK PRZEROBU OWOCÓW I WARZYW — Przy współudziale prof. W. IWANOWSKIEGO. Z 121 rycinami w tekście. CENA ZŁ. 6.50.

NEHRING EDWARD — TECHNIKA OWOCARSKA I HANDEL OWOCAMI (Podręcznik praktyczny dla właścicieli sadów, dzierżawców i kupców. Z 38 rycinami w tekście. CENA ZŁ. 5.—

NORKOWSKA M. — ŚPIŻARNIA I ZAPASY ZIMOWE. Z licznymi rysunkami CENA ZŁ. 2.50.

NEHRING EDWARD — ZARYS TECHNIKI SUSZENIA I KONSERWOWANIA WARZYW. Z 49 rys. w tekście. CENA ZŁ. 1.80.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

DORAŻNA POMOC

Lekarzy Specjalistów

w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy KONSYLJA

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

„PŁOMYK“

NAJPOCZYTTNIEJSZY TYGODNIK ILU-
STROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Z DODATKIEM

„Płomyczek“

dla młodszej dziatwy.

Wydawnictwo Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół
Powszechnych. Pod redakcją Heleny Radwanowej.

Warunki prenum. wraz z przesyłką poczt.

za wrzesień i październik 2 zł. —
„ wrzesień, październik, listopad i grudzień 3 zł. 75 gr.
„ cały rok szkolny 24/25 9 zł. —

Ministerstwo Oświaty pismem Nr 1539/24 S. zakwalifikowało „PŁOMYK“,
jako pożądany dla szkół powszechnych i niższych klas szkół średnich.

Warszawa, ul. Świętokrzyska 30, telefon 269-49.

Nr. konta P. K. O. 68-80.

250

Na żądanie wysyła się numer okazowy gratis.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 36

431. Palto z wełny w kratę z futrzanym
kołnierzem.

432. Kurtka i czapka z brązowego zam-
szu. Spódnica z grubej prążkowanej wełny.

533. Sukienka dla dziewczynki od lat 3
do 6 z woalu w drobny desenik.

434. Ubranko dla chłopczyka od lat 4
do 6. Majtki granatowe, bluzka z trykotu nie-
bieskiego.

435. Sukienka dla dziewczynki od lat 5
do 7 z materiału w drobne paski.

436. Ubranko dla chłopczyka od lat 4
do 6 z ponsowej flanelki.

437. Sukienka dla dziewczynki od lat 4
do 6 w drobną kratkę.

438. Narożniki do chusteczek, haft ri-
chelieu i angielski.

439. Płaszcz z piaskowego sukienka.
Boki plisowane.

440. Sukienka dla dziewczynki od lat 7
do 12 z granatowego szewiotu.

441. Suknia ciemno zielona, przybrana
kolorowym haftem.

442. Palto z peleryną, przybrane taśmą.

443. Kostjum z gabardiny granatowej,
ozdobiony skośną plisą z tego samego ma-
terjału.

444. Suknia z gładkiego i deseniowego
crêpe marocain.

445. Suknia z kamizelką z wełny w kra-
tę i gładkiej.

446. Suknia z żakietem i białą kami-
zelką z materiału w kratę.

447. Suknia z fularu deseniowego. Ka-
mizelka z białej organdiny.

448. Suknia z luźnym żakietem. Suknia
gładka, cała plisowana. Żakiet z materiału de-
seniowego.

449. Suknia z fularu deseniowego, obję-
ta plisą w jednym kolorze.

450. Narożniki do chusteczek, haft ri-
chelieu i angielski.

451. Kostjum z plisowaną spódnicą. Ża-
kiet przybrany guzikami.

452. Suknia z materiału w pasy z białą
kamizelką.

453. Kostjum z jasnego sukienka, przy-
brany suknem innego koloru.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚ

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.
¹/₂ „ 51 „ 75 „
¹/₄ „ 29 „ 25 „
¹/₈ „ 15 „ 75 „
¹/₁₆ „ 9 „ — „
¹/₂₄ „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się
nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń
Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje
wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia
zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na ¹/₄ część strony
przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogło-
szenie drobniejsze ma być powtarzane,
za każde trzy razy należy wnieść należność
z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

454. Sukienka dla dziewczynki od lat 7
do 10 z woalu granatowego, przybrana skosem
z woalu deseniowego.

455. Ubranko dla chłopczyka od lat 3
do 6. Majtki granatowe, kurteczka trykotowa,
robiona na drutach.

456. Deseń na ekran lub makatę — haft
kołbrowy. Wielkość naturalna 60x 77 ct.

UWAGA: Powiększone wzory robót
i formy bibułkowe sukien, podanych
w dodatku mód, nabywać można w
Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić
wielkość (I. II. III. lub IV), podług której
forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i ro-
bót, należy kierować oddzielnie do Re-
dakcji dodatku mód. Zamówień nie
należy skuteczniać na blankietach
czekowych P. K. O.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,
T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA —
Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40